

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 23 marca 1947 r.

Nr 12 (69)

TREŚĆ NUMERU: J. Mikke — Polskie pojęcie honoru, M. Bienkowski — Dialog o przebudowie, St. Rembek — Wyrok na Franciszka Kłosa, L. M. Bartelski — W. Bąk, L. Naganowski — Nietzscheańskie „Poza dobrem i złem“, List do przyjaciela w kraju, A. J. Kamiński — Biała róża.

Dominik Horodyński

NALEŻYMY DO EUROPY

P. ZYGMUNTOWI NOWAKOWSKIEMU Z LONDYNU I P. JANOWI KOTTOWI Z ŁODZI

Artykuł ten prowokuje wypowiadających się najodleglejszych sobie skrzydeł opinii polskiej. Wypowiedzi niby to różne, a przy bliższym zanalizowaniu bardzo zbliżone. Mówię o nieprzejednanych z emigracji i o skrajnej lewicy z kraju. To zestawienie może wydawać się niepowodnym paradoksem — mimo to postaram się je udowodnić.

Swego czasu Artur Sandauer zwrócił uwagę w swoich doskonałych korespondencjach z Paryża na łatwość, z jaką niektórzy publicyści lewicy polskiej rozprawiają się z kulturą europejską. Spostrzeżenie nader słuszne. Rzeczywiście łatwo jest przyjechać do Paryża, pochodzić po Montmartrze, pogadać z Aragonem i ogłosić wszem wobec, że kulturę europejską diabli wzięli, że jej źródła twórcze wysychają. Równie łatwo jest zobaczyć w Rzymie na murach, które otaczają państwo Watykańskie, napisy kredą i farbą olejną „Viva il Lenin“ i wyciągnąć stąd wniosek, że koniec nadszedł tego cywilizacyjnego, którego ten Rzym i Watykan był kolebką. Potem stawia się tezę: Europa umiera, nie ma co na nią się oglądać, rachujemy tylko na siebie — czyli pocujemy się jedyną elitą i awangardą kulturalną świata. Jeśli przy tym posiada się temperament, to można dzięki takim stwierdzeniom, osiągnąć zupełnie dobre, heroiczne samopoczucie.

Z tezą o końcu Europy można się zgadzać lub nie — dyskusje na ten temat toczą się na całym naszym kontynencie i nie ma zamiaru ośmieszać się rozstrzygnięciem tutaj tego problemu. Chciałbym zadać tylko jedno pytanie. Dlaczego przepowiednie o końcu Europy są wypowiedziane z dziwną radością. Po co ten niepokojący „schadenfreude“?

Ten sam „schadenfreude“ i to w dodatku z wyraźnymi objawami patologizmu, zaobserwować można w publicystyce emigracyjnej. Emigranci piszą i cieszą się z tego, że Polska zatraci i zatracić musi ostatecznie cechy narodu europejskiego. Nie widzą oni rozkładu Europy, a rozgłaszają o „sowietyzacji“ Polski. Nad tą domniemaną „sowietyzacją“ rozdierają szaty, a równocześnie wyraźnie zacierają ręce z uciechy — „a nie mówiłem“! Jedni mówią: „nie wam po Europie“ — drudzy: „nie dla was Europa“. I jednym i drugim pozwolę sobie powiedzieć: Panowie, nie macie racji — a gdybyście mieli rację, to napewno nie macie się z czego cieszyć.

KRYZYS EUROPY

Tutaj trochę truizmów. Europa przeżywa niewątpliwie głęboki kryzys. Kontynent, który przez wiele wieków był ośrodkiem światowej dyspozycji politycznej, militarnej i ekonomicznej, w szybkim tempie i definitywnie stanowisko to traci. Jest to pierwsza przyczyna kryzysu, który odbywa się w naszych oczach, powodując szereg konsekwencji, wywołujących wrażeń i gwałtownego rozkładu. Ale są przyczyny i inne.

Jest przede wszystkim brak wielkiej idei, brak odbierający wszelkie możliwości dynamiki twórczej. W tej chwili Europa już — i może jeszcze — wielkiej idei nie posiada. „Śmierć Boga“ wywołuje sceptycyzm i zniechęcenie w chwili historycznie najgroźniejszej. Bo właśnie po zburzonych i smutnych m. astach kon-

tynentu przechadzają się ciekawie, czasem pewni siebie, a czasem onieśmieleni, barbarzyńcy. Zwycięscy ludzie Ameryki i Azji rozmawiają ze zmęczonymi i sceptycznymi ludźmi Europy. Czy ci sceptyczni ludzie i apatyczne miasta potrafią być dla zwycięsców atrakcyjne — czy wzbudzają szacunek — czy potrafią ich zachwycić i wciągnąć w swój krąg kulturalny? Od odpowiedzi, jaką czas da na te pytania, zależy cywilizacyjna przyszłość kontynentu.

Równocześnie przechodzi przez Europę rewolucja społeczna, usuwająca te warstwy społeczne, których dziełem był cały nieomal dorobek kulturalny. A rodzące się nowe formy współżycia społeczno-gospodarczego są właściwie obce dotychczasowej europejskiej tradycji. W dodatku — tak jak Grecja w swojej ostatniej fazie — kontynent nie jest polityczną jednością i dzieli go bardzo głębokie konflikty narodowe.

Mając ten obraz przed oczyma można ze słusznym pesymizmem oceniać możliwości przewyciężenia najgroźniejszego w dziejach Europy kryzysu. Można być pesymistą, ale w roli Polaka trzeba uczynić wszystko, trzeba zdobyć się na największy wysiłek twórczy i ideowy w walce o los tych wartości, które mimo dzisiejszego upadku nadal pozostają wspa-

niałe i niezastąpione, w walce o rolę i prymat Europy w kulturze nowej epoki. Być może, my Polacy, posiadamy więcej sił witalnych od starszego od nas Zachodu, ale zbudowane tymi siłami wartości kulturalne, nie są naszą wyłączną własnością i musimy nimi promienować w walce o odrodzenie europejskie. Prostu dlatego, że klęska Europy jest też i naszą polską klęską. Jej śmierć — naszą śmiercią, i to śmiercią tym smutniejszą i tragiczniejszą, że nie na laurach.

EUROPEJSKOŚĆ POLSKI

Chrześcijaństwo było tym nieoczekiwanym pomostem, przekazującym dorobek cywilizacyjno-kulturalny Greków i Rzymian barbarzyńskim narodom Europy Zachodniej. W rękach narodów romańskich i germańskich wspaniały ten spadek zamienił się w kulturę zachodnioeuropejską. Inne narody europejskie stopniowo włączały się w zasięg i w wysiłek twórczy tej kultury. Udział ludów słowiańskich w dorobku kultury zachodnioeuropejskiej jest dość niski — ich wkład twórczy w ten dorobek dotychczas niewielki. Słowianie wschodni i południowi późno znaleźli się na arenie historycznej i ulegli wpływowi wschodnioeuropejskim, bizantyńskim, a potem tureckim, a nawet mongolskim. Silne ośrodki a-euro-

pejskie kształtowały ich oblicze kulturalno-cywilizacyjne.

Polska znalazła się na styku kultury Zachodu i Wschodu.

Po której stronie byliśmy w dziejach?

Polska nie przechodziła tak zasadniczych faz rozwoju ustrojowego i współżycia socjalnego, jakimi dla Europy zachodniej był feudalizm, absolutyzm, czy kapitalizm. Nie wytworzyła, tak typowych dla Zachodu warstw, jak arystokracja, mieszczańskie kupiectwo i proletari robotniczy. Arystokracją była u nas plutokracja, a mieszczańskie kupiectwo z powodów narodowościowych, polityki szlacheckiej i wojen, a proletari robotniczy z braku industrializacji, nie odgrywały poważniejszej roli.

Dyscyplina społeczna była u nas inna, mniej organiczna niż na Zachodzie. Kraj przełomu dwóch kultur, szeroko otwarty na obie strony, przechodzący najbardziej burzliwe koleje losu, wielokrotnie niszczone — wytworzył własny, nie zupełnie zachodnioeuropejski, typ człowieka. Tak charakterystyczne dla Zachodu cechy, jak umiar, racjonalizm i dyscyplina osobista, nie są właściwościami typowo polskimi. Pamiętając o tych poważnych różnicach, nie możemy się np. dziwić, widząc dzisiaj we Francji, czy Włoszech lewicowców mniej radykalnych od obecnej polskiej prawicy. Inaczej kształtowały nas dzieje. A jednak. Mimo szeregu krzyżowań się kultur nie sposób powiedzieć, że Polska należała do kultury wschodniej — nawet nie można powiedzieć, że była problemem typowo słowiańskim. Większość ludów słowiańskich należała do kręgu wpływów kultury środowisk wschodnioeuropejskiej, poza nami tylko Czesi, choć w innym charakterze, należeli się po stronie zachodniej. Polska kulturalnie szła z Zachodu na Wschód. Uwaga taka dzisiaj może brzmieć antypaństwowo. Sąd ten byłby jednak powierzonej i przedczesny. Do dzisiejszej swojej sytuacji politycznej Polska szła przez szereg najrozmaitszych przeobrażeń, powodowanych szeregiem przyczyn, z których najjaskrawsze obserwowaliśmy w okresie ostatniej wojny. Jesteśmy na zakręcie naszych dziejów i dziś mogliśmy zająć tylko tę pozycję, którą zajmujemy, albo też z dziejów zniknąć.

Problemem dla nas zasadniczym jest zagadnienie kultury. Kultura polska dla tego musi być uznana za nierozzerwalnie złączoną z Zachodnią Europą i jej losem, ponieważ Polska była i jest krajem katolickim. Rzym, który przekazał wartości antycznej kultury Europie Zachodniej — zdecydował o typie kultury polskiej. I proces ten jest nieodwracalny. Katolicyzm determinował i naszą twórczość kulturalną i nasze tendencje polityczne. Można to uznać za fakt pozytywny lub negatywny. Może to się komuś podobać lub nie, tak jak podobać się mogą lub nie podobać wasy króla Sobieskiego, który się nosił z turecka. Nie mniej jest to fakt historyczny, o którym pamiętać musimy stale i czujnie, mówiąc i rozmyślając o przyszłości naszej i Europy.

WSPÓLNA DROGA

Gdy się chodzi dziś po Warszawie, można niejednokrotnie odnieść wrażenie, że jest to jakieś dziwne miasto, gdzieś na

Wytyczne

W sprawie demilitaryzacji Niemiec

NTELEKTUALIŚCI polscy, zrzeszeni w związkach zawodowych, wydali oświadczenie, które niniejszym przytaczamy:

„Przedstawiciele polskiego świata kulturalnego zgłaszają niniejszym swoją pełną solidarność z odezwą intelektualistów francuskich w sprawie zabezpieczenia trwałego pokoju w Europie przez właściwe postanowienia traktatu z Niemcami.

Polka, poza zniszczeniami wojennymi, których doznała w stopniu najwyższym ze wszystkich narodów Europy, obrana została przez Niemców jako miejsce zorganizowanej kaźni, zarówno obywateli polskich, jak ludzi zwożonych na jej teren ze wszystkich niemal krajów okupowanych przez armię Hitlera.

Nigdzie zbrodnie niemieckie nie przybrały takich liczebnych rozmiarów i nie odbywały się w sposób tak całkowicie jaskrawy.

Wobec tego naród polski zarówno jako ofiara, jak i bezpośredni świadek tego bezprzykładnego w dziejach wojen zjawiska, posiadał też większe niż inne narody kompetencje, gdy chodzi o jego ocenę.

Opierając się na tej dokładnej wiedzy, Polska jest przeświadczona, że tylko wyjątkowe i najbardziej rygorystyczne środki, gwarantujące całkowite rozbrojenie i najściślejszą jego kontrolę w połączeniu z rozplanowanym na długie lata demokratycznym programem wychowawczym, mogą zapewnić Europie warunki do wydzwignięcia się z ruin i nędzy, spowodowanej agresją niemiecką.

Pobłażliwość polityki ustrojów zachodnich dla Niemców, pewna część opinii krajów dyktowana w imię zła zrozumianego humanitaryzmu, budzi największe obawy i skłania nas do gorącego apelu, aby nie popełnić błędu łatwowierności, która w konsekwencji może przynieść odrodzenie się sflumionych na razie, sił zaborczego nacjonalizmu niemieckiego.

Podpisani przedstawiciele świata kulturalnego wzywają dalsze osoby i organizacje kulturalne w innych ośrodkach polskich do zgłaszania w prasie akcesu do powyższego oświadczenia.

Oświadczenie podpisane zostało przez Radę Szkół Wyższych, Związek Zawodowy Artystów Scen Polskich, Związek Zawodowy Literatów Polskich, Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS Pen Klub, Związek Kompozytorów Polskich, Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków, Związek Muzyków RP.

Dziś w obliczu odradzającej się powoli, lecz stale, potęgi niemieckiej, problem rozbrojenia całkowitego Niemiec staje się nie tylko centralnym problemem politycznym Europy, lecz i walką o przyszłość jej kultury. Dlatego imieniem zespołu „Dziś i Jutro“, jak i grupy pisarzy związanych z naszym pismem, popieramy w całej rozciągłości ten słuszny apel polskich sfer intelektualnych.

W kraju...

WSZYSTKIEGO PO TROCHU

Wszystkich miastach Polski społeczeństwo katolickie rozpoczęło okres rekolekcji. W kościołach, jak co roku, zbierają się tłumy ludzi, by przygotować się do święta Zmartwychwstania i dopełnić obowiązku Wielkanocnej Spowiedzi. W Warszawie, obok normalnego toku konferencji rekolekcyjnych, zorganizowano specjalne nauki dla inteligencji, młodzieży akademickiej i profesorów wyższych uczelni. Wiele środowisk urządziła własne, zamknięte rekolekcje dla ograniczonej liczby uczestników.

Nie przeszkadza to wcale, że lokale rozrywkowe po dawnemu rozbrzmiewają stukotem „swingu”, nie respektując nawet rozporządzenia o zaniechaniu tańców w piątki. Uchwałę związku orkiestr kawiarnianych omija się, włączając radiodiodniarki, bo uczynna dyrekcja Polskiego Radia w te dni właśnie wypełnia program muzyką taneczną. Trudno uznać, że tego rodzaju postępowanie jest właściwe w społeczeństwie w ogromnej większości katolickim.

Oczekiwany z utęsknieniem okres ocieplenia jakoś nie nadchodzi. Ostatnio byliśmy świadkami nowej fali opadów, które pogorszyły jeszcze sytuację na odcinku komunikacyjnym. Szczególniej komunikacja podmiejska ucierpiała na tym dotkliwie i wielu ludzi musiało pieszo podróżować do miasta, by choć na parę godzin zdążyć do miejsca pracy. Plotkarsze mówią, że bardziej chodziło im o odebranie przydziałów tekstylnych, rozdawanych po biurach, niż o wykonanie obowiązków, są to jednak zapewne tylko insynuacje.

Ze stanu pogody radować się muszą natomiast władze budowlane stolicy, które mimo długotrwałej zimy nie ustaliły jeszcze planu budowlanego na rok bieżący. Prasa codzienna rozbrzmiewa głosami troski o nadchodzący sezon, ale jest to chyba przysłowiowy „groch o ścianę”. Może więc i zarobione wskutek mrozu parę tygodni czasu zostanie przemarnowane, jak pozostała część zimy.

Ferie sejmowe pozwoliły marszałkowi Wł. Kowalskiemu opuścić Warszawę i udać się na ziemie odzyskane, gdzie we wsi Jordanów dokonał aktu nadania ziemi i inwentarza polskim osadnikom. W przemówieniu, wygłoszonym przy tej okazji, marszałek Kowalski powiedział: „Otrzymacie akty własności, stając się tym samym właścicielami ziemi, którą uprawiacie od dwu lat. WASI WNUKO. WIE TAK, JAK WY, UPRAWIAĆ BĘDĄ TE ZIEMIĘ DLA WŁASNEGO DOBRA I DLA DOBRA OGÓLNEGO...”. Znaczenie tego aktu nie wymaga komentarzy.

W całym kraju trwa nadal akcja ujawniania się podziemia i oddziałów leśnych. Redakcja „Dziś i Jutro” otrzymuje wiele listów z zapytaniami, jak należy postępować w bardziej skomplikowanych wypadkach. Staramy się naogół załatwić wszystkie te sprawy korespondencyjnie. Zasada jednak pozostaje — czas wejść na drogę realizmu, czas rozpocząć tak ważną dla wszystkich pracę odbudowy. Okres amnestii nie może być zmarnowany.

I tak w oczekiwaniu wiosny mijają dni. Mijają jednak nie beczynnym. Między innymi fabryka w Ustroniu opracowała nowy typ motocykla polskiego, poj. 125 cm. sześć. Zapowiada też w najbliższym czasie podjęcie produkcji seryjnej tego prototypu. Możemy więc wyglądać wiosną spokojnie. Dojazd do pracy przestanie być problemem, a wolne popołudnie i niedziele spędzać będziemy z miastem. Oby tylko ta zima już przeszła i oby cena owego produktu nie zatrąla nam marzeń o własnej komunikacji...

POCZTA I PRASA

CZYTELNICY nasi skarżą się niejednokrotnie na zwłokę w otrzymywaniu pisma. Numer przychodzi niejednokrotnie z tygodniowym opóźnieniem i to do miejsc wcale nie najbardziej odległych od Warszawy. Wobec tego wyjaśniamy, że poza zupełnie wyjątkowymi wypadkami (może że trzy od czasu powstania „Dziś i Jutro”) pismo wysyłamy już w czwartek, a czasem nawet w środę tygodnia poprzedzającego datę nakładu. Jeśli więc są opóźnienia to nie z naszej winy, lecz wskutek wadliwego funkcjonowania poczty. Na to zaś już wpływu nie mamy. Czas było by jednak wejść w działanie tej instytucji,

krańcach Europy, albo już po za nimi. Brud, rozgardiasz, nerwowość i krzykliwość, różnorodność stroji i typów ludzkich, nasuwają obraz wschodnio-balkański. I łatwo można ulec złudzeniu, że Polska rzeczywiście przerwała swoją ciągłość historyczną i dziś jest już innym światem. Uspokójmy się. Warszawa nie jest całą Polską, a tylko najbardziej zniszczonym jej miastem, które z nieopętą witalnością wraca do życia. Przez to miasto setki tysięcy, a przez ten kraj miliony biednych, bezdomnych ludzi przewala się z jednej strony w drugą. Fala ta już pomału opada, już jest inaczej niż temu dwa lata. Wstrząsy wojenne były bardzo głębokie, przeobrażenia powojenne głębokie i szybkie. W skutkach groziło zerwanie tradycji historycznej, zerwanie poczucia ciągłości dziejów i ich organiczności, zerwanie tego wszystkiego, co w słowie „traditio” — przekazywanie jest istotne i dla życia narodu nieodzowne.

Dziś to niebezpieczeństwo mija. I po-

Jerzy Mikke

Polskie pojęcie honoru

U podstaw obecnej rzeczywistości polskiej leży pewien wyraźny patologizm, ostatniego trzywiekowego procesu dziejowego; patologizm, wyrosły początkowo z anarchicznej, źle pojowanej wolności, później zaś, aż do czasów naszych, przez mękę zaborów i gorycz wszystkich powstań, stale się potęgujący.

Antynomie psychiczne, jako historyczny produkt polskiej niemocy, występują jaskrawo w formie zewnętrznej — wyrażają się zarówno w prymacie czynnika zwykle bezpłodnej demonstracji nad czynnikami narodowej racji stanu, jak i w przewadze płytkiego samozachwycenia własną siłą nad rzeczywistą wartością dokonań.

Postawa psychiczna Polaków jest taka, że można z powodzeniem powiedzieć o dwóch ostatnich wiekach dziejów polskich, iż demonstracje i protesty zastępują każdy historyczny czyn, ba, że go stanowią.

Targa się polska niemoc w ekliwej pieśni poety nad grobem „Zygmunta Augusta”, wstrząsa prometeizmem Konrada, zadreżca koszmarnym tańcem Chochoła, determinuje zagubieniem Złotego Rogu. Dzisiaj obnaża się w oparach krematoriów i odurze literatury okupacyjnego cierpiętnictwa. Ona, ta niemoc nasza, stanowią jeden z wielkich nurtów narodowego charakteru, protest świadomej siebie, zawsze niezadowolonej męki, która kiedyś odkupi i nagrodzi przyszłe nienarodzone pokolenia.

Jest drugi aspekt, pozornie mocniejszy — protest walki. Znaczą go krew przelana w boju, łuny wszystkich powstań, heroizm w założeniu samym beznadziejny. W tych kręgach tęczy się polski czyn od lat 150, a pasjonuje szarżami Samosier, rozpala szaleństwem Cassina czy warszawskiego sierpnia, jaśnieje romantycznym pojęciem honoru pięknego księcia, ginącego w falach Elstery.

Polskie pojęcia o honorze! To one nas poróżniły ze światem i w specjalny sposób odwróciły od niego. Zostaliśmy przez nie samotni, w pochodzie narodów, co najwyższej obdarzeni współczuciem, ale zawsze z domieszką litości nierozumiani. Lecz nasz honor, honor trzydziestomilionowego narodu, błyszczy nadal jak szyszak Czarnego Zawiszy i nadal jest poematem i przeżywanym tak osobiście, jak osobiście w duszy swej przeżywał go jaśniejący rycerz. Od tamtej pory pozostał niezmienny wobec czasów, niewzruszony na stale pędzące przemiany, nieczuły na wciąż odmienne warunki gospodarczo-społeczne i o błędny rozwój techniki. Jest absolutny niczym dogmat, a tak wszechwładny, jak racja stanu mocarstwowych narodów.

A jednak popełnia nieścisłość, twierdząc o niezmienności naszych pojęć, o honorze od czasów średniowiecznych. Nie chcąc krzywdzić dawno nieżyjących przodków, trzeba czym prędzej sprostować. Oni bowiem jak inne dzisiejsze na-

przez wzburzone fale ludzkie widać już dawne, te same co zawsze, wzbogacone i pogłębione przeżycia wojny, oblicze narodu, który wraca do życia, odżywa. Odżywa dzięki twórczym i ogromnym wysiłkom tych wszystkich Polaków, którzy na wielki wysiłek zdobyć się chcą i mogą.

Dla naszych moralistów z emigracji europejskiej Polski jest ściśle uzależniona od pewnej struktury ustrojowej, czy społecznej. Jeśli by tak rzeczywiście było, to nie warto, by ani minuty poświęcić rozważaniom nad tym problemem. Gdybym tak myślał, jak niektórzy publicyści emigracyjni, gdybym pozwolił sobie wątpić w trwałość naszego związku z Europą, nie siedziałbym ani jednego dnia w Warszawie. Ale siedząc w Londynie, napewno nie napisałbym ani jednego słowa, w celu przekonania tych, co tu z gruzów Polskę dźwigają, o bezcelowości ich wysiłków. Mimo najtragiczniejszych nawet przejść wojennych trzeba jakoś umieć trzymać nerwy na wodzy

rodzy potrafili (przynajmniej w pewnych okresach) rozróżnić honor narodowy od osobistego.

Był czas, kiedy posiadali w wysokim stopniu zdolność godzenia narodowej dumy z interesem państwa. Był czas, gdy za cenę hołdu lub rezygnacji z tytułu na rzecz niemieckiego cesarza zyskiwaliśmy ład wewnętrzny, potrzebny do bolesławowskich wictorii pod Niemcżą i Psiem Polem.

Dostatecznie cennym musiało być to poczucie narodowej dumy w ówczesnym społeczeństwie, jeśli jaśniała taką prawością swych obywateli, jeśli szlachetność i rycerskość Polaków budziła wtedy podziw znacznie starszych zachodnich społeczeństw. Lecz honor Polski XX wieku jest widziany inaczej. Choć zniknął lub skarlał w życiu jednostkowym, przejął normy indywidualne kodeksu rycerskiego i stosuje je dla oceny zarówno moralnej, co i politycznej tak swojego, jak i obcych narodów. Przystając hierarchizować cele nie rozróżnia granicy między jego państwową, a prywatną interpretacją. Stąd paradoksalna różnica, że narodowi wytyczał zadania, jakie mogą osiągnąć jednostki niemal że święte, jednostkom zaś pozostawiał dowolność działania, której nie powstydziłyby się najbardziej cyniczne programy polityczne. Stąd i inny paradoks, że w lecie 1939 roku honor Polaków buńczucznie się wzdrgał przed oddaniem „guzika”, a spokojnie zezwalał na politykę eksportu jedynych i najlepszych bombowców.

* * *

Lata wojny sprzecznosci te wzmogły. Gorzej, że dzisiaj nadal jako społeczeństwo grzeszymy niechęcią godzenia moralności i honoru z nakazami polityki, natomiast działalność jednostek pozostawiamy nadal ich wewnętrzny osąd. A całkiem źle, że krwawe sztychowanie kupacji nie nauczyło nas zrozumienia, że jak nie ma przykładów długotrwałych triumfów niemoralnego gwałtu, tak nie może przez wieki istnieć głęboka moralność, któraby była znamię politycznej niemocy.

My zaś zawsze wolimy ze wszystkich wyborów nasze dumne męczeństwo, ludząc się, że spod dzisiejszych łachmanów, kiedyś pysznych szat, prześwituje rzeczywistość siła i prawdziwa świętość.

* * *

Przykładów podobnych możnaby mnożyć bez liku. Do ich wzmoczonego istnienia w obecnej rzeczywistości powrócimy jeszcze obszerniej później.

Dotychczas chodziło o to, by na podstawie kilku uprzednio zacytowanych wydatnie jeden z zasadniczych kierunków naszych dziejowych nieporozumień. — Kierunek protestu, zrodzonego fałszywą oceną honoru, choć wypełnia naszą dwoiłowką przeszłość, jeszcze jej nie zamyka.

W kołach historii pozostała odrobina miejsca na konsekwentny czyn i doraź-

i zachować przynajmniej minimum poczucia odpowiedzialności.

Gdybym tak myślał, jak niektórzy publicyści krajowi, czułbym się bardzo obco w Polsce.

Rekapitując te uwagi, chciałbym stwierdzić, że można być smutnym, bo są ku temu poważne powody. Ale cokolwiek się robi, czy pisze, pamiętać trzeba, że jakkolwiek będzie przyszłość świata, czy zwycięży socjalistyczna, czy komunistyczna mutacja marksizmu, czy nowy wielki ruch chrześcijańsko-społeczny, którego jeszcze nie ma, ale który już się wszędzie poczyna i w którym widzimy odrodzenie Europy i świata, czy jakiś neo-kapitalizm, jak chcą liberaliści, czy też ostateczny kataklizm i zagłada cywilizacji, jak o tym mówią katastroficy — los Kultury Polskiej i Warszawy, czy tego chcemy, czy nie chcemy, będzie związany ze stanem kultury pozostałej części Europy.

Dominik Horodyński,

nie warunkującą go myśl polityczną. Myśl Konarskiego oraz jego najbliższych spadkobierców i wiekopomny, choć spóźniony, czyn Konstytucji Połańca. Obie koncepcje Legionów 1797—1914 nie zawsze słuszne, lecz jednakże urzeczywistnione. Dodajmy do tego pionierskie reformy gospodarcze Lubieckiego i Staszica i bilans realiów, zamknijmy w stosunku do ówczesnych możliwości realizacyjnych z wynikiem dodatnim. Resztę stanowią wartości potencjalne. Passywa, które niezależnie od woli twórców mogły być aktywnymi. Myślę w pierwszym rzędzie o Czarotryskim i Wielopolskim. Ponadto na podkreślenie zasługuje trzeźwa i trafna ocena sił i wypadków, dokonana praktycznie przez partię krakowską, później przez Dmowskiego, Witosa, Piłsudskiego i Sikorskiego, (uwagi te dotyczą ich działalności tylko w pewnych okresach czasu).

A jednak wszystkie te poczynania zbankrutowały. Na przeszkodzie stanęła nie tyle przemoc obca, czy słabość własna, ile psychoza sprzeciwów współczesnych, Czarotryskiego w 1812. tym nie posłuchano, Mochacki cudem uniknął samosądu, Chłopickiemu ofiarowano władzę, nie pytając o zamiary, lecz za to nie rozumiejąc zamiarów odebrano ją Wielopolskiemu przy pomocy najbardziej beznadziejnego z powstań.

Lecz zestawienia te nie mają ambicji fabrykowania jakiejś nowej historiozofii. Pragną jedynie służyć potrzebom rzeczywistości.

Bo problem Wielopolskich istnieje nadal. (Patrz artykuł Wojciecha Kętrzyńskiego „Dziś i Jutro” Nr 28 (34)). Bo tajemnica klęski polskich, czystej krwi polityków, którzy w zachodnich społeczeństwach odegrali rolę znakomitą, kryje się zapoznaniem przez nich duszy narodowej. Przegrali wtedy, gdy chcieli rządzić wbrew społeczeństwu. Zbagatelizowali atuty moralnego zaufania w polityce. Zapomnieli, że naród ma prawo żądać rachunku dokonań, nie zaś zamierzeń. Że nie znosi, gdy się przemilcza jego imponderabilia, lub oddziela je od polityki. Raz potępią przywódców, którzy nie wykorzystują możliwości zdobycia władzy, mimo udzielonego poparcia, częściej, gdy w sprawowaniu jej nie pytają się go o opinie. Wszyscy dziejowi Wielopolscy pogardzając współczesnymi, wyzywają ich i... przegrywają. Aby osiągnąć zwycięstwo nad narodem dla narodu, trzeba w realizacji celów wyznaczyć zasadnicze miejsce jego moralnym wartościom.

Jest niedobrze, gdy jak na przykładzie Polski, fałszywe pojęcia moralne w dużej części społeczeństwa cofają się przed każdym zdecydowanym czynem, byłoby nie szczęściem, gdyby, jak na przykładzie Niemiec, duszę narodów chciało się kształtować przemocą materialnej siły.

Jerzy Mikke

Czytajcie

„Słowo Powszechne”

W swiecie...

KONFERENCJA W MOSKWIE

10 MARCA rozpoczęła się w Moskwie konferencja czterech ministrów spraw zagranicznych. W chwili gdy piszemy te słowa, rozpoczęły się właściwie dopiero obrady wstępne nad problemem demilitaryzacji Niemiec między czterema ministrami i nad formą traktatu z Niemcami między zastępcami czterech ministrów. W obu kwestiach jeszcze do tej pory nie osiągnięto porozumienia. Porozumienie i kompromis wogóle łatwe nie będą. Zagadnienie Niemiec jest trzonem spraw europejskich i przy rozwiązywaniu tego problemu, przy układaniu traktatu z Niemcami, trzeba będzie uzgodnić i wyjaśnić wiele innych spraw. Konferencję otacza atmosfera sceptycyzmu; nie jeśli chodzi o wynik ostateczny — w to nikt rozsądny nie wątpi, że Wielkie Mocarstwa dojdą na koniec do pozytywnego rozstrzygnięcia. Sceptycyzm dotyczy czasu trwania konferencji i to nawet nie tylko konferencji moskiewskiej, ale wogóle cyklu konferencji, poświęconych sprawom niemieckim. Wydaje się nam, że sceptycyzm ten jest uzasadniony. Należy pamiętać, iż sprzeczności zachodzą nie tylko w łonie samej wielkiej czwórki, ale też istnieją pewne zasadnicze rozbieżności opinii między trzema partnerami wielkiej czwórki (USA, ZSRR i W. Brytania) z jednej strony, a grupą mniejszych narodów z drugiej, które to narody pod przewodnictwem Francji domagają się rozbitcia Niemiec na luźno sfederowane państewka. Dobrze jednak, iż do tej tak trudnej sprawy podchodzi się z ostrożnością i przyjmuje postawę raczej wyczekującą, niż natwornie entuzjastyczną. Kompromis, który będzie wynikiem długich i zmudnych obrad — będzie prawdopodobnie trwałszy, niż wszelkie solenne pakti podpisywane w spontanicznej radości. Możliwe, iż dwa lata temu łatwiej i prędzej znaleźć można byłoby rozwiązanie problemu niemieckiego. Dwa lata, które od tego czasu narosły, stały się wprawdzie okazją do powstania gdzieindziej nowych konfliktów, które wpływają pośrednio lub bezpośrednio na problem niemiecki, ale też przez ten czas każdy z wielkich partnerów lepiej zżył się z problemem niemieckim, poznał lepiej Niemcy, Niemcy wreszcie też ukazały światu swoje pewne szanse, atuty i nadzieje. Wszystko to razem sprawia, iż wprawdzie nie należy się ludzi, że tego lata podpiszemy traktat z Niemcami, ale sądzić wolno, iż w roku 1948 może to już nastąpić. Taką datę przewiduje czechosłowacki minister spraw zagranicznych Jan Massaryk. A polski rzeczoznawca w problemie niemieckim Edmund Osmańczyk twierdzi w „Przekroju“ na podstawie obserwacji poczynionych w Londynie, iż po konferencji w Moskwie, która ułali najpierw bieżącą politykę wobec Niemiec, potem główne zasady traktatu, wreszcie dalszą procedurę jego opracowania, nastąpią inne konferencje. I tak: pierw — zastępcy ministrów ustalą pierwszą redakcję traktatu. Dalej — konferencja dwudziestu trzech narodów zjednoczonych, dyskutująca wszystkie punkty projektu. Konferencja ministrów wielkiej czwórki ostatecznie ustalająca tekst traktatu. I na koniec konferencja pokojowa sensu stricto (w Warszawie?), na której przedstawiciele 23 narodów ostatecznie wyrażą swą zgodę na traktat, a przedstawiciele Niemiec podpiszą go.

I to też nie wyczerpie jeszcze problemu Niemiec. W traktacie prawdopodobnie znajdą się przecież klauzule, mówiące o dalszej kontroli tak nad wojskiem przemysłem, jak denazifikacją i demokratyzacją Niemiec.

Wierzmy, i wierzyć chcemy, iż pokój rodzący się w trudzie — będzie trwałszy, niż gdyby został zawarty zbyt łatwo.

OD ADMINISTRACJI

Prosimy P. T. prenumeratorów o dokładne i czytelne podawanie nazwisk i adresów.

Brak dokładnego adresu opóźnia, a nawet często uniemożliwia wysyłkę naszego pisma.

Jednocześnie zwracamy uwagę że od grudnia ubiegłego roku prenumerata miesięczna wynosi 40 zł, kwartalna 120 zł.

Przy korespondencji z nami prosimy o podawanie numeru konta, który jest uwidoczniony w rogu na kartce adresowej.

Marian Bieńkowski

DIALOG O PRZEBUDOWIE

Marksista. Najgorsze u was jest to, że nie wiadomo o co wam chodzi. My przynajmniej stawiamy kwestię jasno. Chcemy osiągnąć dobrobyt poprzez reformy społeczne. Na to katolicy mówią, że szczęście materialne nie może być celem, wobec czego należy dbać o prymat ducha, o rozwój osobowości i o doskonałość moralną. Zapełnić tak, jak gdyby likwidacja nędzy mogła w czymkolwiek przeszkodzić urzeczywistnieniu zasad chrześcijańskiej kultury duchowej. Te sprzeczności są czysto pozorne, a wasza programowa opozycja wobec socjalizmu wynika, daruje Pan — ze spirytualistycznej mętności myślenia.

Katolik. Aby tę mętność usunąć, zacznijmy od ustalenia wspólnego języka. W rozmowie z Panem używać będę jedynie pojęć ekonomicznie sprawdzalnych, ponieważ zdaję sobie sprawę, że zastosowanie terminologii spirytualistycznej spowodowałoby w danym wypadku daleko idące pomieszanie zupełnie niewspółmiernych pojęć.

M. Czy to jest ustępstwo na rzecz materializmu?

K. Nie. To jest chęć wykazania, że spór nasz przebiega także w porządku doczesnym. Kto chce go przenieść wyłącznie na grunt metafizyczny, zapomina o tym, że my różnimy się zasadniczo nie tylko w sferze teologicznych pryncypiów. Konflikt dotyczy materii.

M. To brzmi jak nowa herezja!

K. Nie. Nasz pogląd na świat obejmuje wszystkie dziedziny istnienia. Kto sądzi, że baza może być marksowska, a nadbudowa katolicka, głosi herezję wyrażoną także w punktu widzenia marksizmu. Jeżeli sposób rozwiązania spraw ekonomicznych decyduje o charakterze naszej kultury duchowej, to trudno sobie wyobrazić, aby gospodarka z natury swej socjalistyczna, mogła dać w rezultacie bujne życie religijne. Komunista nigdy w to nie uwierzy. Dla nas chrześcijaństwo jest wytworem minionych faz rozwoju produkcji kapitalistycznej. Jesteście tego pewni, że z chwilą obalenia wielkiej prywatnej własności, dyspozycje metafizyczne zaczną automatycznie zanikać. Kto uważa religię za narzędzie przemocy klasowej...

M. Tak rozmawiać nie wolno. Stójmy na gruncie rzeczywistości istniejącej w Polsce. Upanstwowienie kluczowych gałęzi przemysłu nie jest bynajmniej równoznaczne z realizacją ustroju socjalistycznego. W kraju, gdzie większość obywateli rekrutuje się spośród drobnych posiadaczy chłopskich, nie może być mowy o tym, żeby baza ekonomiczna oddziaływała na społeczeństwo w kierunku ateizmu. Popełnia Pan nieścisłości. Nasz pogląd na świat musi być zawsze konfrontowany z układem warunków obiektywnych, które w danym miejscu i czasie konkretnie istnieją. Dyskutując z nami, trzeba w sobie tępić skłonność do pryncypializmu.

Katolik. Dobrze. Będę konsekwentnie unikał abstrakcji. Wróćmy do punktu wyjścia. Powiedziałem już, że tematem niniejszej rozmowy będzie wyłącznie spór ekonomiczny. Wspomniał Pan o upanstwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu. Otóż my katolicy nie jesteśmy wcale przekonani o tym, jakoby powszechny dobrobyt mógł być następstwem etatyzmu biurokratycznego. Nasza metoda socjologiczna niesie ze sobą inne rozwiązanie. Zanim je sformułuję, muszę pana zapytać, gdzie uchodzi obecnie nadwartość, bogacząca dawniej prywatnych właścicieli? Chcę wiedzieć, czy upanstwienie środków wytwarzania rzeczywiście zapewni robotnikom bezpośredni i proporcjonalny udział w dochodach przedsiębiorstw, jakie obsługują.

M. Pan myśli kategoriami przedwojennych towarzystw akcyjnych. Gdybyśmy chcieli wypłacać dywidendy, nie byłoby pieniędzy na racjonalną odbudowę kraju. Powiedzenie, że robotnik dźwiga państwo z ruin, nie odnosi się tylko do funkcji zawodowych. Mówiąc tak, mamy na myśli i to, że część jego zapłaty idzie na inwestycje konieczne, bez których nędza obecna musiałaby trwać w nieskończoność.

K. Dobrze, ale jak jest właściwie z tym dochodem społecznym? O ile mi wiadomo właśnie deficytowość wielu przedsięwzięć państwowych stanowi dziś na-

czelną troskę rządu. Z punktu widzenia doktryny, jaką wyznajemy, jest rzeczą zupełnie wykluczoną, żeby rentowne mogły być obiekty, utrzymujące własnym kosztem olbrzymi biurokratyczny aparat kontroli i władzy.

Nadwartość konsumowana dawniej przez ludzi prywatnych, w dużej mierze obrócona zostaje na sfinansowanie egzystencji warstwy urzędniczej. Ta klasa zajęła miejsce dawnej burżuazji. Ona faktycznie panuje. Spełnia funkcje elity społecznej.

M. To jest demagogia. Czy Pan naprawdę nie wie jak żyją nasi urzędnicy. Żaden człowiek mający choć trochę poczucia odpowiedzialności, nie będzie śmiał ich porównywać z dawną plutokracją.

K. Urzędnicy żyją źle, bo jest ich prostu za dużo. Ta armia składa się z milionów ludzi, którzy właściwie nic nie produkują, ponieważ zajęci są kontrolowaniem warstw bezpośrednio włączonych w aparat wytwórczo-handlowy. Twierdząc, że suma wydawana na utrzymanie zbędnej biurokracji w Polsce mogłaby wystarczyć na luksusowe życie dla kilku tysięcy Bęc-Walskich!

M. I tego pan właśnie żałuje?

K. Nie! Ja tylko uważam, że z punktu widzenia ekonomicznego jest rzeczą zupełnie obojętną w jaki sposób marnuje się dochód społeczny.

Polip biurokratyczny wysysa tę samą krew, którą pił dawniej obszarnek czy kapitalista.

Zamiana jednej formy kapitalizmu na inną, nie może być równoznaczna z pojęciem przebudowy społecznej.

M. Zgadzą się. I właśnie dlatego rząd nasz przystąpił obecnie do daleko idącej redukcji aparatu biurokratycznego w związku z koniecznością przeprowadzenia racjonalnej polityki oszczędnościowej. Ja tu nie widzę zasadniczej różnicy stanowisk.

K. Wszystko jest kwestią metody. Uważam, że tylko zastąpienie centralistycznej maszyny urzędniczej przez samorząd społeczno-gospodarczy i terytorialny może uratować nas przed klęską deficytu w skali narodowej. Na miejsce czynnika państwowego powinien wysunąć się czynnik społeczny. Wtedy staniami na nogi.

M. Decentralizacja nie jest już dzisiaj technicznie możliwa. W rezultacie powstałoby wiele autonomicznie skłóconych regionów wysuwających przede wszystkim swoje potrzeby lokalne. Obóz rządzący musi obejmować całość. Nie może mieć do czynienia z szeregiem suwerennych partykularzy. Proponuje Pan straszliwy chaos i takie rozpętanie ambicji lokalnych, o jakim doprawdy myśleć nam dziś nie wypada.

K. W takim razie jestem niepoprawny, bo w dalszym ciągu uważam samorząd za administrację najmniej deficytową. Tego dowodzi zresztą praktyka stosowana w państwach skandynawskich. Ale wróćmy jeszcze do zagadnienia rentowności wielkiego przemysłu. Sądzę, że dochodowość przedsiębiorstw może być osiągnięta na stałe jedynie w tym wypadku, gdy każdy robotnik będzie bezpośrednio zainteresowany w wysokości dywidendy miesięcznej czy rocznej. Żaden system premii nie zdoła zastąpić mu uczciwostwa w rzeczywistym dochodzie społecznym.

M. Oczywiście to będzie możliwe z chwilą ukończenia odbudowy kraju. W obecnych warunkach akcjonariat pracy musiałby, jak już powiedziałem, sparaliżować nasz wysiłek związany z koniecznością dokonania pilnych inwestycji.

K. Ja wcale nie jestem o tym przekonany. Proszę to sobie rozważyć. Gdyby znaczna część dochodu społecznego istotnie zasilala prywatne budżety klasy robotniczej, to wówczas rozbudowa przemysłu konsumcyjnego byłaby już tylko prostą konsekwencją wzrostu siły nabywczej ludności. Podatki płynące z tego źródła posłużyłyby winny do uruchomienia nowych gałęzi produkcji dóbr, brakujących na terenie kraju. Jest to metoda wręcz przeciwna do tej jaką stosuje się w państwach, gdzie potrzeby ludzkie są z natury rzeczy na ostatnim planie, a cała energia zwrócona jest ku wytwarzaniu narzędzi potęgi i władzy. Tak było np. w III Rzeszy. Stąd luksu-

sowe gmachy publiczne obok mieszkań wołających o pomstę do nieba. Stąd olbrzymia produkcja węgla, żelaza czy stali, a przy tym chroniczny brak porządnych ubrań, butów, bielizny i mydła, liche jedzenie, codzienność szara i nędzna. Tego my właśnie nie chcemy.

M. I państwo też tego nie chce. Dlatego zapoczątkowaliśmy trzylatkę sytości i ciepła. Wiemy, że najważniejszą rzeczą jest właśnie wysoka stopa życiowa i coraz pełniejsze nasycenie zespołu potrzeb ludzkich. Ale do tego nie można dojść drogą okrężną przez opodatkowanie przemysłu konsumcyjnego na rzecz inwestycji państwowych. Przede wszystkim ta gałąź produkcji zasadniczo znajduje się w rękach prywatnych. Ile razy podnosimy płace robotnikowi, ta branża udaremnia cały nasz wysiłek poprzez zwyżkę cen, dzięki czemu sytuacja nie ulega korzystnej poprawie. Cóż z tego, że duży procent dochodu społecznego obrócony zostanie na zaspokojenie potrzeb osobistych klasy robotniczej, skoro w miarę napływu pieniądza, ceny zaczęły wzrastać. Inicjatywa prywatna z natury rzeczy nie jest elementem karnym i tylko uczciwa konkurencja coraz liczniejszych współdzielni zdoła z biegiem czasu położyć kres spekulacji. Proszę sobie tylko wyobrazić, co by to za hałas powstał, gdybyśmy poszli na zorganizowanie masowych kooperatyw krawieckich czy szewskich, a cały przemysł spożywczy oddali w ręce państwa. Nie zamierzamy tego uczynić, ponieważ granice reform wyznaczone są przez istniejącą dzisiaj strukturę społeczną. Musimy jednak powiedzieć, że podniesienie stopy życiowej ludności, to nie jest tylko kwestia lepszego uposażenia klasy robotniczej.

Pan jako katolik powinien w danym wypadku zrozumieć mnie lepiej niż ktokolwiek inny, bo ostatecznie pojęcie godziwego zysku to przecież jest kategorią moralną. Od tego jakie stanowisko zajmie drobny rzemieślnik i kupiec bardzo wiele w przyszłości zależy, bo nasza polityka płac jest organicznie sprzężona z podażą i kalkulacją dotyczącą dóbr konsumcyjnych. O skuteczności przebudowy społecznej decyduje państwo narówni z klasą drobnych posiadaczy.

K. Chcę wierzyć, że rozwijająca się szybko współdzielczość, położy kres spekulacji.

Niestety dotychczasowa praktyka przyniosła raczej słabe rezultaty. W dziedzinie budownictwa mieszkaniowego prawdziwy ruch powstaje tylko tam, gdzie, jak np. w Poznaniu, dala inicjatywa prywatna. Kooperatywa mimo oficjalnego poparcia niewiele dotychczas zdziałała. Jeżeli mają być narzędziami postępu trzeba zaprowadzić w nich pełny samorząd, a przede wszystkim skończyć z biurokracją.

M. Na wszystko przyjdzie czas. Sądzę, że możemy przystąpić do sformułowania wniosków wynikających z przebiegu dzisiejszej rozmowy. Oto one: Cel nasz w porządku doczesnym jest wspólny. Chcemy osiągnąć dobrobyt będący koniecznym warunkiem pełnego rozwoju wszystkich władz duchowych. My kładziemy nacisk na upanstwowanie, wy chcielibyście u społeczeństwa narzędzia produkcji i uczynić z fabryk robotnicze spółki akcyjne.

Spór nasz dotyczy głównie tego czy dochód społeczny powinien być przede wszystkim użyty na zaspokojenie osobistych potrzeb klasy pracującej, czy też zasilic w pierwszym rzędzie fundusz przeznaczony na wielkie inwestycje. W toku naszej dyskusji starałem się wykazać, że powiększenie dochodów jednostki nie spowoduje poprawy jej losu, jeżeli chęć osiągnięcia wysokich zysków indywidualnych w dalszym ciągu decydować będzie o kalkulacji drobnych posiadaczy. My chcemy nasycić rynek artykułami pierwszej potrzeby tak mocno, żeby sztuczne podbijanie cen przestało się ludziom opłacać. Metoda nasza jest słuszna.

Na koniec wypada mi stwierdzić to co nas łączy wyraźnie. Zarówno marksści, jak i katolicy stoją na stanowisku antykapitalistycznym.

K. Tak. Nam również obcy jest kapitalizm państwowy. Te dwie współczesne postacie niewolnictwa muszą być zlikwidowane.

Marian Bieńkowski.

Tydzien kulturalny

SALON WIOSENNY

W PRAWDZIE jeszcze trwa niewat. pl'wie sroga zima, zawieje i mrozy, lecz wydaje nam się, że czas już najwyższy pomyśleć o wiosennych imprezach artystycznych. Jedną z takich najpierwszych i najkonieczniejszych winien być reprezentacyjny salon wiosenny artystów plastyków. Tymczasem w stolicy nie ma go gdzie urządzić. Nie nadają się przecież do tego szczupłe salony SARP'u, ani też niustannie obciążone różnymi wystawami sale Muzeum Narodowego. A przecież istnieje odpowiedni budynek, zdawien dawna przeznaczony na tego rodzaju imprezy, ale jak często to bywa w Warszawie, okupowany przez tych, którzy trafili tam przypadkowo. Mowa tu o gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, mieszczącym obecnie biura Naczelnej Dyrekcji Ochrony Zabytków, instytucji bezwątpienia pożytecznej, lecz śmiało mogącej pomieścić się i gdzie indziej, a kto wie, czy nie z lepszą korzyścią.

„Zachęta” jest niedostępna — a szkoda! Wierzmy, że nowe władze Związku Artystów Plastyków z prof. Fr. Strynkie. wiceprezesa, wezmą się energicznie do dzieła i przywrócą Warszawie jej reprezentacyjne salony. Bo czas najwyższy pomyśleć już o jak najszerszym udostępnieniu warszawskiej publiczności po wojennego dorobku naszych artystów plastyków.

NARESZCIE!

DPOWIADAMY tym wszystkim, których dziwiło, dlaczego dotychczas na łamach naszego pisma nie pojawiła się recenzja z powieści p. t. „Noc Huberta” znakomitego pisarza Jerzego Zawieyskiego, wydanej nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik”. Otóż książka ta, która ukazała się prawie przed dwoma miesiącami, dotarła teraz dopiero do naszej redakcji. Wprawdzie Wydzał Wydawniczy „Czytelnika” parafrazując popularne przysłowie — flat ubi vult, ale dlaczego bojkotuje Zawieyskiego?

Jednocześnie możemy podać wiadomość o rychłym wystawieniu sztuki tego znakomitego dramaturga w Warszawie przez Miejskie Teatry Dramatyczne. Chodzi tu o „Rozdroże miłości”, które cieszy się niebywałym powodzeniem w Krakowie, gdzie odbyło się już ponad 120 przedstawień przy szalenie wypełnionej sali, co stanowi swoisty rekord w tym zakresie w warunkach powojennych. „Rozdroże miłości”, z którego jeden z fragmentów, będziemy publikować w najbliższych numerach „Dziś i Jutro” ukazuje się w połowie kwietnia b. r. w wydaniu książkowym nakładem E. Kuthana.

SALOMONOWE ORZECZENIE

SĆIE salomonowe orzeczenie wydał wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki w Krakowie, przyznając nagrodę w dziedzinie publicystyki ex aequo red. Jerzemu Turowiczowi i J. A. Szepeńskiemu, znanemu pod skrótem „Jaszca”. Niezależność tego orzeczenia aż zadziwia! Z jednej strony nagradza się głębokiego publicystę, zasłużonego rzeczywicie dla kultury polskiej, z drugiej zaś strony udziela się nagrody być może zdolnemu i obiecującemu dziennikarzowi, ale — jak na razie — nie wnoszącemu do skarbu polskiej publicystyki nic poza szablonem. Salomonowość owego orzeczenia streszcza się w tym, że nagrodzony został red. Turowicz równocześnie z najbardziej zwalczanym przez swoich współpracowników p. Jaszecem, którego przeciętność i niepotrzebne przyczynkarstwo aż nadto dobitnie obnażył w swoim felietonie „Pod włos” (właśnie w redagowanym przez Turowicza „Tygodniku Powszechnym” (Kisiel)).

Jednocześnie z red. Turowiczem nagrody otrzymali: Zygmunt Mycielski (muzyka), świetna powieściopisarka katolicka Hanna Malewska, autorka wydanych po wojnie dwóch powieści — „Kamienie wolać będą” i „Żniwo na sierpnie” w dziedzinie literatury oraz prof. E. Szyszko-Bo-gusz (architektura) oraz Hanna Rudzka-Cybisowa (malarstwo).

NIE zniszczyły jej zagony tatarskie, nie dosięgły jej najazdy litewskie, nie dotarła do niej konfederacja barska; w czasie powstania listopadowego poszła w ręce Paskiewicza, dążącego na Wole, bez boju. Był to więc pierwszy dotkliwy cios, który ją dosięgnął. I był to cios zaiste straszliwy. Nie było rodziny, która by nie opłakiwała swoich bliskich, tym bardziej, że na dobre biorąc niemal wszyscy jesteśmy z sobą spokrewnieni, czy spowinowaci. Nic dziwnego: od tylu wieków młodzież nasza żeni się prawie wyłącznie między sobą, a Niemcy wymordowali w tym dniu ze dwieście osób co najmniej. Nie dosyć na tym. Zaraz po pogromie zaczęły się masowe aresztowania. Co do uwięzionych, to w bardzo krótkim czasie przychodziły o nich wieści ponure: albo śmierć, albo równoznaczny, jeśli nie jeszcze gorszy od natychmiastowej śmierci obóz koncentracyjny. Między innymi wezwano również matkę Kłosa do Warszawy na Pawiak po odbiór rzeczy, pozostałych po jej mężu. Nie było więc już wątpliwości, że nie

starsza pani Kłosowa pojechała do Warszawy i przywiozła zniszczone całkowicie łachmany, spokojna i zimna jak zawsze. Uczęszczała też potem na msze i inne nabożeństwa jak i dotychczas, bo już zresztą nie mogła w żaden sposób bardziej. Tyle tylko, że zamknęła się w sobie jeszcze mocniej. Jedyny jej świat zdawał się zamykać pod sklepieniem nadszerego kościoła, ufundowanego zresztą w czternastym wieku, chociaż od tego czasu trzy razy spłonął doszczętnie i uległ kilkukrotnym przeróbkom. Nie można też było zarzucić niczego jej polskości. Gdy wspominało wobec niej, delikatnie zresztą, jej syna, zwracała swe szklane, zimne zrenćce.

— Syn? Nie mam żadnego syna! Jestem sierotą. Mam tylko matkę, naszą Matkę Najświętszą, ojca na niebiosach, który jest Ojcem i Bogiem nas wszystkich.

Najwięcej tematów do rozmów dawała niespodziewana odsiecz w dniu egzekucji oraz zachowanie się kierownika Rządka, który zresztą według wszelkich danych został zabity w krytycznym dniu. Wielu z nas przeczuwało, że należał on do jakiejś tajnej organizacji, ale dopiero ostatnie straszne wydarzenia utwierdziły nas w tym przekonaniu.

— Skąd i dla kogo zjawili się w dniu egzekucji ci chłopcy z lasu, poprzebierani za esesmanów?

— I dlaczego na widok ich samochodu kierownik zaczął stawiać opór?

To były pytania, które stawialiśmy sobie na zwykłych zebraniach u Chomińskiego.

Poza tym opłakiwaliśmy krwawymi łzami ofiary.

Jeden tylko Kłos, nie wyłączając Niemców, którzy również mieli kogo opłakiwać, czuł się w tym dniu szczęśliwy i zwycięski. Został przecież folksdojczem, bo słowo lejtnanta Szlissela starczało przecież chyba za nominację. Bawiąca bowiem u nas w generalnej gubernii komisja antropologiczna uczonych niemieckich stwierdziła, że wszyscy Polacy są rasy germańskiej i że wskutek tego o przynależności ich do narodu niemieckiego może całkiem wystarczająco stanowić jedynie opinia władz administracyjnych. Wogóle uznano, że ludność Generalnej Guberni aż po Bug są to spolonizowani siłą Wandalowie. Właściwi zaś Polacy wywędrowali na Polesie, gdzie podlegli rutenizacji.

Kłos wiedział o tym wszystkim, ale nie wyciągał z tego żadnych praktycznych wniosków, chociażby z tego powodu, że nie znał zupełnie niemieckiego języka. Teraz jednak po rozmowie z lejtnantem Szlisselem otworzył mu się nowe nieznanne wldnokregi.

Został, a przynajmniej miał zostać folksdojczem! W jego obronie miała stanąć stumilionowa masa narodu niemieckiego. Cóż więc stanowi dlań wyrok jakiejś nędznej, ściganej ze wszystkich stron i ukrywającej się lekliwie organizacji podziemnej?

Wrócił do domu upojony nie tyle alkoholem, ile radością i rozstrzygającą wszelkie obawy nowiną.

Jego żona przyjęła go radośnie. Była pełna lęku i niepokoju, graniczącego z rozpaczą.

— Franuś, jesteś nareszcie!

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran

Odebrała mu karabin, torbę służbową, pas z rewolwerem i posadziła na kanapie.

— Spróbuj, jaką świetną zupę pomidorową zrobiłam dla ciebie.

— Zupę? A nie masz jakiej zagrychy?

— Chcesz się napić?

Kłos błysnął okiem niedowierzająco. „Lodzka proponuje mi wódkę?”. Wydało mu się to jakimś podstępem. „Przecież chyba widzi, że już jestem wpany?”.

Tymczasem żona wydobyla skądś litr wódki i postawiła go na stole. Zaraz potem poglaskała go po rękawie.

— Tak niepokoiłam się o ciebie. Wiesz przecie, co ci Niemcy wyprawiają.

Oboje dzieci siedzieli przy piecu kuchennym, patrząc na ojca okrągłymi oczkami. Kłos uśmiechnął się do nich swym nieumiejętnym uśmiechem.

— No i czego się pętaki boicie?

Jego żona była już przy nim i obejmowała go za szyję.

— Och, Franuś, nawet nie masz pojęcia cośmy przeżywali!

Kłos nalewał sobie wódki do szklanki.

— Wszystko fume! Będzie dobrze! Będzie tak dobrze, jak jeszcze nigdy nie mieliśmy!

Żona tuliła swój policzek do jego.

— Och, Franuś, żeby to tylko była prawda! Nie masz pojęcia, cośmy dzisiaj przeżyli. Nie przeżyłabym drugiego dnia podobnego. I dlaczego ciebie tak długo nie było? Już myślałam, że ci się coś złego stało. No, pij!

Kłos wypił i zagryzł ogórkiem.

Chwilę czekał, wachając chleb, wreszcie odetchnął głęboko i wybuchnął rozradowany.

— Nic się nie bój, Lodziu! Nie będę już policjantem!

— O, moja Matko Najświętsza! Wyślu chane są modły moje! Może się jeszcze napijesz?

Tuliła się do męża, jak do jedynej ostoi w tym strasznym dniu, jaki nawiedził nasze miasto.

Kłos uderzył pięścią w stół.

— Nie będę już więcej polskim policjantem! Będę żył i mieszkał gdzie mi się spodoba! Zostanę folksdojczem!

— Folksdojczem?

— Nic się nie odzywaj, głupia! Nie znasz się na polityce! Można być folksdojczem, a tu — wskazał ręką na serce — w środku, czuć się Polakiem.

— Ale folksdojczem?

— Zamknij gębę!

Wypił wódkę i zaczął łapczywie jeść zupę.

Żona wraz z krzeselkiem przysunęła się ku niemu.

— Nie gniewaj się, Franuś! Nie wyobrażasz sobie nawet, jak strasznie było bez ciebie. Już drugiego takiego dnia nie przeżyję napewno. Ale folksdojczem?..

Kłos znowu się napił.

— No, już! Dobrze! Nie będę z tobą gadał. Muszę się położyć i trochę przespąć.

— Twoje łóżko jest gotowe. Tam, w pokoju.

— To dobrze. I weź dzieci za morde, żeby nie hałasowały. Daj mi też coś do picia, jakiejś kawy czy wody.

Zerwał się i ruszył ku drzwiom, ale zatonął się zlekka i chwycił za framugę.

— Pamiętaj, żeby mnie nikt nie budził!

Rozwalił się na łóżku, tak jak stał, w ubraniu i w butach. W głowie kręciło mu się tak nieznośnie, że ciągle obawiał się mdłości. W oczach stały mu czarne kręgi, które, gdy zamknął powieki, stały się jasno-zielone.

„Psia krew! Znowu się upiłem!”.

Mimo to czuł radość we wszystkich członkach. Jest wreszcie nadzieja, że uniknie wyroku. Zostanie przecie folksdojczem, czyli — bądź co bądź — Niemcem, a za śmierć Niemca grozi straszna zemsta, taka, jak dzisiaj. Poza tym przy protekcji lejtnanta Schlissela, który najwidoczniej go sobie upodobał, będzie mógł się przenieść do innej miejscowości, tam, gdzie go nie znają. Jeśli nauczy się po niemiecku, będzie mógł nawet zostać rajchsdojczem i wywędrować do Rzeszy. Ukołysany tymi marzeniami, zasnął.

W pewnej chwili ktoś go zaczął szarpać za ramiona. Z trudem unioś powieki.

Ujrzał nad sobą twarz żony. Siedziała przy nim na łóżku z pomarszczonym czołem i z wygiętymi ku górze brwiami.

— Franuś — zaczęła cicho, ale z przejęciem. — Powiedz mi, na miłość Boską, czy to prawda, żeś zamordował małą Wandzię od pani Sroki?

Z wysiłkiem zbierał myśl. Wreszcie kopnął lewą nogą w powietrze.

— Poszoł won, do jasnej cholery! Czemu mnie budzisz?

Żona nie ustępowała. Jej palce coraz silniej wpijały się w jego ramiona. Brwi były stężone w pełen rozpacz zygzak.

— Franuś, pytam się po raz ostatni, czy to prawda, żeś zamordował Wandzię od Sroczyń?

Zerwał się wściekły. Usiadł na łóżku i potoczył nieprzytomnymi jeszcze od snu oczami.

— Poszoł won, mówię! Zamordowałem! Tak! I ciebie zamorduję, jeśli mnie jeszcze raz obudzisz!

— Więc zamordowałeś?

— Tak!

— Dobrze.

Odeszła bez słowa. Kłos opadł z powrotem na poduszki. Był zły, ale zarazem tak senny, że nie miał siły się podnieść.

Kiedy obudził się znowu, była już noc. Męczyło go pragnienie, wypił więc duży kubek wody, który żona postawiła mu przy łóżku. Potem długo rozmyślał. Ale rozmyślanie jego były przyjemne. Za parę godzin zostanie folksdojczem, i skończą się wszystkie jego troski i obawy. Skończy się wreszcie ten podły, niemożliwy do zniesienia strach. Będzie mógł przecie opuścić Brodnicę. Na pewno.

Zasnął.

Obudził się po raz trzeci z przeświadczeniem, że jest rano i że jest sam jeden w mieszkaniu. Coś mu się marzyły jakieś szeptę żony z dziećmi. Zerwał się na-

NOWOŚCI POETYCKIE — W. BAK

Ostatnio wydana książka poetycka Wojciecha Baka jest cykl 44 utworów, opatrzonej znamienym tytułem — „Pięta ewangelia” (*). Poszczególne fragmenty tego cyklu krążyły w odpisach w latach okupacji, bądź też nawet były publikowane w antologjach konspiracyjnych (jak np. fragment „Nasza śmierć” w „Słowie prawdziwym” 1942).

Groza wojennej rzeczywistości i nieomal całkowite podeptanie godności człowieka w tych „czasach pogardy” warunkowały do pewnego stopnia postawę poetę, ale niewielu z nich zdobyło się na postawę walki, której istotną konsekwencją były narodziny nowego humanizmu. Przekonywającym i prostym świadectwem tego jest poetyckie wyznanie Baka, jednocześnie będące oskarżeniem tych, którzy nadużywają pewnych pojęć, przeistaczając je w czysty werbalizm. Bo oto: „W ulicy stoję, I w tłum patrzę nigdy mnie widok ten nie nudzi — Jam w czasie miłujących ludzką Miłować nie zaprzestał ludzi,

„Pięta ewangelia” jest poetycką transformacją grozy minionych dni, a jednocześnie poprzez analizę i walkę ze złem kształtuje profil zwycięstwa człowieka. Przychodzą na myśl słowa Doktora Kościoba: „Video meliora, deteriora sequor”.

I sa chwile, kiedy człowiek w swym upadku sięga dna. I rodzi się wtedy pytanie, jak tragiczny okrzyk: kto winien?

Cykl poetycki Baka jest właśnie takim wykresem drogi krzyżowej człowieka w latach wojny. Nie oszczędza nam poeta bolesnych widoków, widzimy narastającą w skąpych wizjach grozę czasu nasyconego zniszczeniami. Płoną miasta i giną ludzie.

„Bo oto dno: śmiertelne dno — Na dnie do kolan brodzim w krwi — I ręce nagą trwogą drżą I w oczach lęk bezradnie lśni — Bo to jest dno, bo to jest dno, myśmy na dno ze śmiechem padli. Stoimy smutni i pobladli — Armaty głuchym gniewem brzmia, Eomby ciosami mściwych pęści Na czoło opadają miast — I płyn'e stu rzekami — krwią Z ciał naszych poranionych krwią —”

Wiara, nadzieja i miłość — te trzy cnoty teologiczne, wyznaczają drogę poety, która poprzez walkę z przeciwnościami, mimo bezprzykładnego ponizenia i upadku człowieka — prowadzi jednak ku ostatecznemu zwycięstwu. Ale nim zostanie ono osiągnięte, droga krzyżowa wiedzie przez piekło na ziemi. I dlatego „Pięta ewangelia” jest obrazem tragicznego

ciszka Kłosa (15)

tychmiast i podniósł czarną zasłonę w oknie.

Był słoneczny poranek.

Podskoczył bosnymi nogami do kuchni. Najwidoczniej ktoś go rozebrał w nocy, bo nie przypominał sobie, żeby się sam rozbierał.

Była pusta.

Czuł najzwyklejszy spokój, aż sam się sobie dziwił. Wypił przecie sporo (a i wogóle dzień wczorajszy mógł zdenerwować i wyprowadzić z równowagi nawet człowieka o stalowych nerwach).

Instynktem wiedziony otworzył szafę z ubraniami. Znalazł tam tylko swoje osobiste rzeczy: ubrań żony i dzieci nie było. Zajrzał do bielizniarki — to samo. Skierował wzrok w górę. Na szafach stały zwykle walizki. Teraz brakowało trzech. Została tylko jedna mała. Rzucił okiem na łóżko żony. Obniżyło się znacznie, ale było dokładnie zasłane niebieską wrzozystą kapą.

„Zabrała koc i dwie poduszki“.

Dopiero teraz skierował się do stołu kuchennego. Stała na nim litrowa butelka wódki, talerz z ogórkami, drugi z boczkiem, oraz wyplatany płaski koszyk z chlebem i z bułkami. Na chlebie widniała zapisana ołówkiem kartka.

Usiadł ciężko na wątlm składanym krześle drewnianym. Podsunął pod nos kartkę.

„Najdroższy Franczku! Wierz mi, że nigdy nie przestanę Cię kochać. Codziennie... Nie codziennie, co godzina chyba modlę się za Ciebie, żeby Cię Bóg sprawdził w swoim miłosierdziu na właściwą drogę. Ale już nie mogę!... Przebac mi, że Cię zostawiam samego, ale, widzisz ja jestem Polką i nie chcę zostać folksdojczką. Ja jestem matką, i nie mogę się pogodzić z tym, że Ty mordujesz dzieci w służbie niemieckiej. Obawiam się też o swoje. Przecież już raz chciałeś je mordować. Zresztą własna matka wyrzekła się Ciebie. Ale, ja Cię nigdy kochać nie przestanę i zawsze, tak jak dotychczas, będę się modlić za Ciebie. Wierzę, wierzę mocno, iż Bóg najmiłosierniejszy i wszechpotężny wszystko jeszcze tak odmieni, że będziemy mogli znowu żyć razem, szczęśliwi. Nie myśl o mnie źle, bo ja zawsze jestem Twoja.

Lodzia“.

Kłosa czytał list kilkakrotnie. Co skończył, to zaczynał od początku. Jakoś nie mógł się w nim dopatrzeć jakiegokolwiek sensu. Wreszcie zrozumiał i położył mocno zaciśnięte pięści na stole.

„Uciekła cholera, kurwa! Myśli, że nie znajdę gdzieś jej na jej miejscu“.

Tak, uciekła, nie było co do tego najmilszej wątpliwości. Chociażby to, że zostawiła wódkę na stole...

Machinalnie chwycił butelkę i nachylił ją do szklanki. Zapomniał jednak otworzyć. Sęgnął do korka, ale zatrzymał się i postawił z powrotem butelkę na stole.

„Nie, psiakrew! nie będę pił!“.

„Właśnie dlatego, żeby nic się nie stało tak, jak przewidywała. „Piję, kiedy mnie

się podoba, a nie kiedy tobie się zechce mnie pozwoić! Myślała, kurwa, że upije się z rozpacz... Ha, ha, ha!“. Roześmiał się rzeczywiście, bowiem rzecz nie do wiary — czuł się niezmiernie lekko i beztro. „Baba z wozu — koniom lżej — to jest mądre przysłowie“.

„Nie będę pił, bo muszę zaraz iść do lejtnanta Szlissela. Do lejtnanta Szlissela“ — mówił do siebie głośno i wyraźnie.

„Tak, Franusiu, teraz się musisz umyć porządnie, ubrać i iść do lejtnanta Szlissela. Zostaniesz folksdojczem, a tę kurwę niech tam gdzie piorun strzeli!“.

Mimo tych dawanych sobie rozporządzeń nie zmieniał postawy. Siedział nadal nieruchomo nad żoniną kartką. Naraz ze szczerym zdumieniem zauważył, że na zapisany papier, jedna po drugiej, spadały ogromne łzy i rozpryskują się w wielo. ramienne gwiazdy.

XXI.

Lejtnant Szlissel przyjął Kłosa nadszpedziewanie prędko. Kazał mu czekać tylko tyle, ile było konieczne dla podrzymania jego godności szefa gestapo na połowę powiatu. Lejtnant Szlissel miał przecie zaledwie dwadzieścia dwa lata, musiał więc używać pewnych środków, żeby utrwalił u podwładnych swoją powagę.

W jego pokrytym olbrzymim dywanem gabinecie z galerią powiększonych fotografii wojennych, tworzących jak gdyby szlak na wszystkich ścianach, i z górującymi nad wszystkim portretami Hitlera, Himlera i Francka, Kłosa zastał stojącego w kornej postawie Szwutkego oraz rudowłosą sekretarkę, siedzącą tyłem na biurku. Bose nogi w wysokich koturnach trzymała oparte na poręczu fotela, w którym rozwałała się lejtnant Szlissel. Była to — jak zauważył Kłosa — jej stała poza wobec zwierzchników.

„Ani ona, ani Szwutke nie obejrzel się na wchodzącego. Rozmawiali w dalszym ciągu o czymś widocznie zabawnym, bo sekretarka wybuchła co chwila głośnym chichotem, przechylając się to w tył, to naprzód. Kłosa stał ciągle wyprężony, wiedząc, że jest to jedna z ulubionych poz poz buty niemieckiej, żeby nie dostrzegając tych, których się chce upokorzyć. W końcu jednak zaczął się zastanawiać, czy niedostrzeżenie go nie trwa zbyt długo i czy nie należałoby się wycofać, żeby zjawić się kiedyindziej ponownie, gdy naraz lejtnant rzucił ku niemu okiem, a potem zaraz wyskoczył zza biurka i zaczął go klepać po ramieniu, mówiąc coś szybko i głośno po niemiecku.

Szwutke obrócił bardzo nieznacznie twarz w tę stronę.

Pan lejtnant chwali cię, żeś nie uciekł z rynku i żeś sam jeden stawiał czoło bandytom.

Szlissel słuchał tego tłumaczenia, wykrzywiając Kłosowi dość boleśnie ucho i przytakując.

— Ja, ja, ein brawer Kerl!

Naraz puścił nieszczęsny organ słuchu Kłosa i znowu palnął go w ramię.

Krzyża i tych, którzy u stóp Jego przeżywali godziny obławienia:

„I co dzień cierń dotkliwiej w czoło
I co dzień gwóźdź rwie głębiej rany —
I co dzień — więcej mi wesoło
Nadzieją, czasie krzyżowany!
Bo jak nie wierzyć w zmartwychwstanie,
Kiedy widziałem krzyżowanie?“

Za zło jest odpowiedzialny jedynie człowiek. Nie ma u Baka mickiewiczowskiego oskarżenia Boga, nie ma kasprowich, czowskich zmagani pełnych patosu, jest poczucie niezależności i godności człowieka, które pozwala wypowiedzieć poecie te piękne słowa:

„Ojcie!
Ty, który rośniesz z wieku na wiek —
A to nie Ty rośniesz.
Ale my dorastamy —
I coraz szerzej rozdarte żrenice nasze zachwytem...
I coraz dotkliwiej myśli rozrywane grozą Twej piękności!...
I coraz głębiej płuca rozdarte okrzykiem pochwały...“

Ta modlitwa — to wyznanie wiary w człowieka. Czyż trzeba czegoś więcej?

L. M. Bartelski.

*) Wojciech Bak: „Pięta ewangelia“. Wydawnictwo Władysława Baka. Łódź—Wrocław 1946. Str. 84.

— Warum bist du nicht voksdeutsch. Daczego nie jesteś folksdojczem?

Kłosa wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu zakłopotania.

— Brakuje mi potrzebnych papierów...

— Was? Papiere? Ah, es ist Dummheit!

To jest głupota! Ich nich nötig. Nie musi być.

— Ale ja nawet nie rozumiem po niemiecku.

— Tyż głupota! Raz, dwa nauczył! Na! — klepnął go po ramieniu, aż Kłosa zachwiał się na nogach. — Jutro ty będzie folksdojczem. Nieprawda?

Kłosa nie wierzył własnemu szczęściu. Zostanie folksdojczem! Wszystkie jego troski znikną wtedy natychmiast, a w pierwszym rzędzie odstąpi od niego ta śsca wszystkie jego siły z mora — wyrok śmierci. Bo jako Niemiec nie będzie już przecie potrzebował służyć w policji. Kto wie, czy nie dostanie nawet jakiej dobrej posady, czy koncesji w innym mieście, choćby i w Warszawie.

Szeroko otwartymi oczyma patrzył na śmiejącego się oficera, aż nagle skurcz konwulsyjny wykrzywił mu twarz i zaczął płakać.

Szlissel był tak zdumiony, że odskończył.

— Was ist denn das? Glück mal, Szwutke!

Tego również opuściła pełna buty obojętność.

— Kłosa, do cholery! — zawołał, chwytając płaczącego za szczeniastą czuprynę i unosząc mu opuszczoną twarz. — Co ci jest? Martwisz się, że zostałeś folksdojczem?

Kłosa długo nie odpowiadał, aż wreszcie zdołał wyjąkać wśród łkania:

— Moja żona uciekła... dziś w nocy.

Szwutke zaczął się tak śmiać, że aż przysiadł, i klepał się z uciechy po udach.

— Was heist: uciekła? — zapytał lejtnant.

Szwutke wskazał palcem na Kłosa.

— Seine Frau ich geflegt! Ha, ha, ha!

— Ha, ha, ha! — zawtórował mu szef policji.

Naraz spoważniał i zaczął coś mówić bardzo szybko do Szwutkego. Ten również przestał się śmiać i powiedział do Kłosa:

— Nie maż się, głupi chłopie. Odnajdziesz swoją babę, choćby się pod ziemię skryła. Pan lejtnant da ci urlop.

— Ja, ja! — powtórzył Szlissel.

Wydał jakieś zarządzenie rudowłosej sekretarce. Ta zsunęła się leniwie z biurka i poszła w stronę drzwi do kancelarii, stukając koturnami i nadmiernie kotylując biodrami. Zdaje się, że miało to wszystko zaznaczyć jej niezadowolenie. Minąwszy Kłosa, zatrzymała się i odwróciła ku niemu lekceważąco twarz, spoglądając niechętnym zezem.

— Ausweisl!

Kłosa zatrzepotał się bezradnie, ocierając chustką oczy.

— Kennkarte? — zapytał, szukając po kieszeniach.

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła tylko za siebie prawą dłoń z wylakierowanym na czerwono paznogciami i wydymając pogardliwie nadmiernie grube, a ociekające od tłustej szminki, wargi.

Na Kłosie wywarło to niezmiernie przykre wrażenie. W bolesny sposób przypominała mu żonę i jej ucieczkę. „Kaźda kobieta — to kurwa“ — zdecydował, używając znowu w swej bezsilności najbardziej hańbiącej i obrażającej całą tę zdradziecką pleć nazwy. Wydo był swoją kartę rozpoznawczą i podał rudej Niemce ze wstrętem. Ta wyrwała mu ją brutalnie i opuściła pokój, nie zapomniawszy trzasnąć drzwiami.

Lejtnant Szlissel wezwał tymczasem Szwutkego i razem przeglądali jakieś papiery, rozmawiając półgłosem. Kłosa stał nieruchomo, ale w piersi jego wrzała rozpacz, bezsilny gniew i żądra zemsty nad Lodzią. Serce waliło mu niezmiernie szybko, to znów całkowicie zatrzymywało swój bieg. Ogarniała go coraz większa słabość i coraz więcej śliny zapęniało mu jamę ustną. Przeżywał ją z trudnością. Potem zaczął się straszliwie pocić. Czując, jak strumienie potu spływały mu z czoła na grube połączone brwi i jak kierowały się na skronie, a potem po policzku ściekały mu pod brodę, czuł, jak sączyły mu się po plecach i po brzuchu, czuł, jak ła. skotały go za uszami...

Tydzień kulturalny

WYSTARCZY CHOĆBY TYDZIEŃ

W ROKU bieżącym mija dziesięć lat od chwili zgonu największego ze współczesnych kompozytorów polskich — Karola Szymanowskiego. Powstały z inicjatywy Związku Kompozytorów i Polskiego Towarzystwa Muzycznego Komitet obchodu 10-lecia śmierci wielkiego muzyka, ogłosił konkurs kompozytorski im. Szymanowskiego na utwór symfoniczny o dowolnej formie i dowolnym składzie orkiestry, napisany po wojnie, dotąd nie wydany i nie wykonany publicznie. Czas trwania utworu od 6 do 15 min. Nagrody: I — 60.000 zł, II — 50.000 zł, III — 40.000 zł.

Na marginesie tej wzmianki chcemy nadmienić, że za mało dotychczas czyni się, aby spopularyzować twórczość wielkiego artysty wśród najszerszych warstw. Większość projektów Komitetu Obchodu zastygła najprawdopodobniej — jak zwykle bywa — w papierach i pozostała niezrealizowanymi postulatami. Tymczasem przy szeroko rozbudowanym aparacie samorządowych wydziałów Kultury i Sztuki dałoby się uczynić wiele dla udostępnienia arcydzieł Szymanowskiego. Za mało działa w tym zakresie Polskie Radio. Nie żądamy wiele, niech to nie będzie — jak pierwotnie projektowano „rok Szymanowskiego“, lecz po prostu jeden „Tydzień“, w którym i usłyszymy jego muzykę, jak i też usłyszymy o Nim samym.

Ta rocznica nie może przeminać tak bez echa, a powinna się stać bodźcem dla popularyzacji współczesnej muzyki polskiej zarówno w kraju, jak i zagranicą.

WYNIK KONKURSU LITERACKO-JĘZYKOWEGO DEPARTAMENTU LITERATURY

Ogłoszony przez Departament Literatury Min. Kultury i Sztuki konkurs literacko-językowy został w tych dniach rozstrzygnięty.

Sąd konkursowy w składzie: prezes Zarządu Gł. Zw. Zaw. Literatów K. Czachowski, prof. W. Doroszewski, dyr. Dep. Literatury St. Furmanik, J. N. Miller i J. E. Piłmieński — spośród 176 nadesłanych prac wyróżnił I-ą nagrodą (10.000 zł.) pracę Mieczysława Feliksa Ziemby p. t. „Krótkie opowiadanie z własnego życia zawodowego“.

Cztery nagrody II-e (po 7.000 zł.) przyznano: Władysławowi Parczewskiemu za pracę p. t. „Noony lot“, Henryce Góreckiej za pracę p. t. „Szary dzień w fabryce butów“, Marii Leszczyńskiej za pracę p. t. „Niezapomniane dni na kominiarskiej reducie“, autorowi niepodpisanemu (hasło „Monopol“) za pracę „Powrót do pracy“.

Cztery nagrody III-cie (po 5.000 zł.) otrzymali: H. Sztuka za pracę p. t. „Krótkie opowiadanie z własnego życia zawodowego“, autor niepodpisany (godło „Oświata“) za pracę „Dzień, w którym praca wykonywana przeze mnie wydała mi się piękna i pożyteczna i godna tego, by się jej poświęcić“, autor niepodpisany (hasło „Orys“) za pracę Kesonaz, Anna Chamiec za pracę p. t. „Ze wspomnień sanitariuszki“.

Wyróżniono ponadto prace następujących autorów: Benedykta Czarnieckiego, Kazimierza Grady-Rutkowskiego, Eugeniusza Gołębiowskiego, J. Michalika, Władysława Grassa, W. Drygalowej, Sienkiewicza Leona, Teofila Borowca, Ziemowita Kwaka, B. Zwierciadłowskiego, M. Tomasika, H. Kosteckiej, Krystyny Dobrowolskiej, M. Zarzeckiego, Leonarda Gembala, Ant. Piątkowskiego, Wł. Zastawniaka, Pawła Kozysy, Romana Wolskiego, Jadwigi Wasilewskiej, H. Mendłowskiego. Nadto autorów niepodpisanych prace „Leczyłam ludzi“ i „Kilka ciekawych mego życia“ oraz prace oznaczone godłami „Sikława“, „Joroz“, „Dla przyszłości“ i „Mrówka“.

Wszystkim wyróżnionym przyznane zostały książki, zaofiarowane na ten cel przez Spółdz. Wyd. „Czytelnik“, „Książka“ i „Wiedza“.

Departament Literatury prosi autorów nagrodzonych i wyróżnionych o zgłoszenie się w lokalu Departamentu (Al. I-ej Armii W. P. 3) po odbiór przyznanych nagród, wgl. o podanie adresu, pod którym mają być przesłane.

Udzielam nauki śpiewu opartej na ostatnich zdobycach badań i metodach pedagogiki.

Zgłaszać się można
MICKIEWICZA 27 m. 95

(D. c. n.)

Tu moje usta utworzono

Ku chwale dumnej, boskiej sprawie“.

I poeta dodaje jeszcze:

„Jam nie Mateusz, jam nie Marek;

Jam nie jest Łukasz ani Jan,

Ale znam mękę krzyżowania,

Choć krzyżowany nie był Pan“.

Piątą ewangelią, niosącą ukojenie w

dnach płomienia i walki, jest — słowo.

Znak piątej ewangelii poetyckiego słowa,

przynoszącego wiarę w ostateczne zwycięstwo

prawdy, niesymboliczny ptak —

gołąb, pojawia się jako znak łaski. A ci,

którzy byli świadkami męki na krzyżu —

ewangeliczny Jan i Maria, matka Jezusa.

wa — towarzyszą poczciwemu w tej drodze

krzyżowej, jako widzące symbole wiecznej

prawdy. Jakże daleko pada cień

Leon Naganowski

Nietzscheańskie „Poza dobrem i złem”

Wiadomo, że zjawiska przeszłości wiadają w nas żywot kameleonów. Zależnie od epoki naszego życia, od okoliczności, w których się znajdujemy, nadajemy temu co było, coraz to inny sens. Odnosi się to tak do własnych przeżyć i myśli, jak też do cudzych treści — szczególnie z dziedziny intelektualnej — wchłoniętych z biegiem czasu przez nasz umysł. Ta rewizjonistyczna działalność, dziejąca się w nas, uaktywnia się stokratnie po kataklizmach w rodzaju ostatniej wojny.

Dzisiaj patrzymy np. innymi oczyma na Napoleona, niż siedem lat temu, kiedy to — toute proportion gardée — pewne analogie z Hitlerem nie przychodziły nam jeszcze do głowy. Jeżeli chodzi o problem niemiecki, nie widzieliśmy, albo nie zauważyliśmy dosyć wyraźnie związków, które istniały między narodowym socjalizmem a niektórymi prądami i osobistościami z bliższej i dalszej historii Niemiec, choć już samo przeczytanie „Mein Kampf”, czy „Mitu XX wieku” — o ile ktoś miał ku temu dosyć cierpliwości — powinno nas być na to naprowadzić.

Do fenomenów jawiących się obecnie naszym oczom w zupełnie odmiennym świetle, należy między in. Fryderyk Nietzsche. Potrzeba było wyjaskrawienia w praktyce tendencji zawartych w jego dziełach, byśmy zrozumieli istotny sens takich określeń, jak: nadczłowiek, moralność panów, poza dobrem i złem. Ale nie uprzedzajmy sformułowań, wymagających udowodnienia.

ZAGRABIONY PATRON?

Paweł Hulka-Laskowski napisał krótko przed śmiercią artykuł p. t. „Genealogia chybionego patrona” (ogłosz. w „Warszawie” z dn. 12.I b. r.), w którym stara się udowodnić, że Hitlerowi nie mieli prawa do kreowania Nietzschego swoim świętym. Również Stawar potrącając o to zagadnienie („Tadeusz Żeleński-Boy” Kuźnica 31.12 1946) wypowiedział się przeciw sprowadzaniu Nietzschego do roli poprzednika hitlerizmu, podobnie Niemiec C. A. Emge („Nietzsche als Suendenbock” — Nietzsche jako kozioł ofiarny—Berliner Hefte 1/47), który rozpatruje jednak zagadnienie w tak specyficznie niemiecki, a „dogłębny” sposób, że w końcu nic nie jest wykluczone, a wszystko staje się możliwe. Dochodzi przy tym do punktu, w którym musi się uciekać do przypuszczenia, że te rysy Nietzschego, na które mogłyby się powołać... Napoleon (Hitlera wyklucza), oczekiwałyby się niewątpliwie zaprzeczenia, gdyby dialektyczna myśl autora „Antychrysta” nie została przerwana przez... chorobę. Dodać jeszcze wypada, że Emge był do r. 1933 włącznie kierownikiem archiwum Nietzschego w Weimarze — szczegóły, jak niżej zobaczymy, wcale pikantny.

Z drugiej strony Leon Rygiel, przytaczając rozmowę, przeprowadzoną swego czasu z Wacławem Nałkowskim („Nadczłowieczeństwo czy pionierstwo” — Wacław Nałkowski o Nietzschem” Robotnik, styczeń b. r.) prezentuje nam zdania, rzadkie w owym czasie, gdy zostały wygłoszone, a zbijające po tym, co dzisiaj wiemy, wyraźnie tezę Hulki-Laskowskiego. Gwałtownie rozprawia się wreszcie z Nietzschem J. R. Becher, prez. „Związków kulturalnego dla demokratycznego odnowienia Niemiec”, autor książki p. t. „Erziehung zur Freiheit” (Wychowanie ku wolności).

Komu należy więc przyznać rację? Czy Nietzsche był wizjonerem III Rzeszy, za jakiego uznaje się dziś np. Houstona Stewarta Chamberlaina, autora „Podstaw XIX wieku”, czy też nie? Czy Hitler fotografując się obok popiersia Nietzschego, wznosząc mu w Weimarze coś w rodzaju świątyni (Nietzsche Tempel) oraz Mussolini nazywając siebie „najwierniejszym uczniem Nietzschego”, mieli do tego „prawo”, czy też dokonali tu jeszcze jednej perfidnej aneksji? Czy wreszcie w telegramie gratulacyjnym, wysłanym przez Weimarskie Archiwum Nietzschego (Emge!) w 50-tą rocznicę urodzin Fuehrera w lipcu 1933, należy upatrywać objaw koniunkturalnego płaszczenia się, czyli też wyraz głębokiego przekonania o cudownych niemieckich? Telegram brzmiał: „Najwspanialszemu apo-

stolowi Zaratustry, którego Nietzsche mógł sobie wymarzyć, genialnemu budzicielowi arystokratycznych wartości w duchu nietzscheańskim, zasyła...” itd.

Na powyższe pytania nie można odpowiedzieć tak, lub nie, wymagają one chwili zastanowienia się. Nie jest przecież wykluczone, że zbytnio gotowiśmy ulegać zniekształcającym sugestiom niedawnej przeszłości, względnie też nie chcemy uznawać w tym wypadku korektury, burzącej nam piękny obraz w entuzjazmowany w młodości i przechodzący odtąd z pietyzmem, jak to mogło mieć miejsce u Hulki-Laskowskiego.

W OCZACH OBCYCH I SWOICH

Trzeba sobie zdawać sprawę, czym był Nietzsche za czasów Młodej Polski nie tylko dla Przybyszewskiego, ale dla wielu naszych i obcych pisarzy i myślicieli. W epatującym zniechęceniem filistra poëte-prophete upatrywano wyłącznie świętego stylistę i pogromcę mieszczańskie moralności, śmiałego obrazoburcę, który wpuszczał brutalny, lecz orzeźwiający prąd świeżego powietrza do buduaru fin-de-siècle'u, pełnego zaduchu rozkładającej się kultury. Dekadencja poddawała się z masochistycznym dreszczykiem sadystycznemu pogromcy, który nawet idąc do kobiet, nie zapomniał bicza. Ze ten egzotyczny barbarzyńca — pełen jednak tak pokupnego wówczas wyrafowania intelektualnego i estetyzmu — sam był duchowym i fizycznym zaprzeczeniem głoszonych przez siebie hasła, to dodawało mu najwyższej perwersyjnego uroku u tych, którzy o tym wiedzieli. Przy tym wszystkim szczególnie zagranicą nie sądziła, by między dionizyjskim dytyrambami i zaskakującymi aforyzmami, a rzeczywistością mogły zachodzić jakieś relacje. Inaczej same Niemcy. One to zapominając Nietzschemu nieprzyjemne prawdy, których im nie skąpił, „widziały w nim polityka i wychowawcę — jak przedstawia to zwłaszcza głośny współczesny filozof niemiecki A. Baumler — widziały pogromcę chrześcijaństwa i a. postola woli mocy”. (B. Suchodolski „Dusza niemiecka w świetle filozofii”, Przegląd Zachodni 2-3 z ub. r.).

Już w pierwszej „estetycznej” epoce twórczości*) Nietzsche pod wpływem Schopenhauera, antycznego świata greckiego i Wagnera wyzywa się resztek wiary chrześcijańskiej. Wytwarza się w nim ateistyczny światopogląd, który przy całym swym metafizycznym pesymizmie dochodzi do heroicznej — jak to Niemcy chętnie nazywają — afirmacji życia, stawiającej w miejsce Boga kult artysty, geniusza i bohatera. Była to w istocie „zakapturzona” nowa religia, sięgająca korzeniami do bachicznych pierwiastków greckich i entuzjazmująca się mitologią starogermańską. Na tym tle została — jak wiadomo — nawiązana i zerwana

*) podział wg. K. Algermissena: „Nietzsche und das Dritte Reich”. Broszura ta, wydana w zeszłym roku, stawia wprawdzie na początku interesujący nas problem, ale nie dochodzi do ostatecznych konkluzji, skłaniając się raz ku krytyce, to znów ku apoteozie. Wyjątki z pism Nietzschego — o ile nie zaznaczono inaczej — cytuję wg. niej, we własnym tłumaczeniu.

przyjaźni, między Nietzschem a Wagnerem, który poszedł jednak znacznie dalej wierząc w możliwość pełnego odrodzenia wiary w bogów Walhalli. (Suchodolski). W każdym razie tak Nietzsche, jak i Wagner stali u kolebki hitlerowskiego ruchu neopogańskiego, propagowanego potem przez Rosenberga.

Drugi wielki okres w życiu Nietzschego o charakterze krytyczno-pozytywistycznym, stojący pod znakiem zawiedzionej miłości do Wagnera i rozczarowania do sztuki, jako namiastki religii, znajduje swój najpełniejszy wyraz w dziele „Ludzkie, acyludzkie”. Chodzi tu o nieodwołalne zniszczenie jakichkolwiek metafizycznych ideałów i o człowieka przyszłości, który by się opierał jedynie na czystej wiedzy. Na pierwszy plan wybijają się przy tym — obok napaści na „chrześcijańską religię stadną” i Chrystusa — ataki przeciw chrześcijańskiej moralności.

Geneza pojęcia moralności jest ściśle psychologiczno-biologiczna. „Bestia w nas — pisze Nietzsche — („Ludzkie, acyludzkie” I. aofr. 40) chce być okłamywana. Moralność to kłamstwo z konieczności, byśmy przez nią (bestię) nie zostali rozszarpani”. Ale mimo takiego nastawienia, mimo szyderczych inwektyw przeciw tym wszystkim, którzy szukają sensu istnienia poza światem widzialnym, Nietzsche pada raz po raz ofiarą zemsty tłumionych metafizycznych tęsknot, ukazujących mu nieco pozytywizmu. I wtedy jako jeszcze jedna namiastka i ostoja jawi się jego oczom ideał nadczłowieka — cel i sens przyszłego świata.

Tak znaleźliśmy się w epoce trzeciej, woluntarystycznej, która będąc ukoronowaniem i poniekąd syntezą artystycznych i filozoficznych dążeń Nietzschego, jest zarazem dla nas najciekawsza. Nietzsche konstatując („Wola mocy”), że europejska kultura stacza się ku katastrofie, ku nihilizmowi i rewolucjom, ocenia jednak ten przeraźliwy „rozwój” w ostatecznej konsekwencji pozytywnie. Dokona się wówczas selekcja, torująca drogę nadczłowiekowi, pogromcy i wodzowi „chaotycznego stada”, zapanuje arystokratyczna etyka panów. Nowa etyka świata powinna oprzeć się na pierwotnych, naturalnych prazródłach, na instynktach. (Duch należy do późniejszego szczybla rozwoju). Wśród nich wola mocy stoi na pierwszym miejscu. Wyżywa się ona w nieustannej walce między panami i niewolnikami. Cała ludzkość jest jedynie mierzwą, na której wzrośnie kiedyś nadczłowiek.

Jest rzeczą oczywistą, że takie postawienie sprawy pociągało za sobą konieczność przewartościowania wszystkich dotąd obowiązujących wartości. „Co jest dobre? — formułuje Nietzsche („Antychryst” afor. 2). — Dobre jest wszystko, co poczucie mocy, wola mocy, moc samą w człowieku wymaga. Co jest złe? Wszystko, co pochodzi ze słabości. Co jest szczęściem? Uczucie, że siła w nas wzrasta. Nie zadowolenie, lecz moc, nie pokój, lecz wojna, nie cnota, lecz sprawność — oto co znaczy cnota wolna od moralności. Co jest szkodliwsze niż jakikolwiek grzech? Litość dla wszystkiego, co nie wydarzone i słabe, dla chrześcijaństwa”. „Natura pokazuje nam, że życie jest wy-

nikiem wojny, społeczność środkiem do wojny prowadzącym. Dlatego trzeba powiedzieć nie wszystkim, co słabe, a tak wszystkim, co wzmacnia, co akumuluje siłę, co poczucie siły usprawiedliwia”. („Wola mocy” afor. 53).

W tej etyce — jak słusznie komentuje Algermissen — jedynie silni mają prawa. Uznają oni obowiązki tylko wobec równych sobie (!), a cnoty takie, jak miłość, poświęcenie, litość, uchodzą w ich oczach za właściwości i znamiona stada. Jedynie stado, to jest zbiorowisko słabych, wierzy też według Nietzschego (Suchodolski) w prawdę, jako wyraz obiektywnego ładu rzeczywistości. Silni i wyzwoleni stwarzają prawdę sami i narzucają ją innym. Sądzę, że bliższe zestawianie powyższych i poniższych cytat z teorią i praktyką hitlerowską jest chyba zbyt bezcelne.

W ZWIERCIADLE PRAKTYKI

Jako najlepszy sposób na wyhodowanie nadczłowieka zaleca Nietzsche militaryzację Europy: „Ciesz się z militarne go rozwoju Europy, podobnie jak z wewnętrznych anarchicznych stosunków. Czasy pokoju... się skończyły. Barbarzyńca doznał w każdym z nas afirmacji, dzięki zwierzę również. Wychowanie przyszłości: sprężyste wykształcenie politechniczne, służba wojskowa, tak że przeciętnie każdy mężczyzna wyższych warstw będzie oficerem...”. („Wola mocy” afor. 127, 793). „Z wojen — wywodzi dalej Nietzsche — należy uczyć się obojętnego składania ofiar... nie oszczędzania ludzi (sic!). Pańska rasa może powstać tylko z warunków straszliwych i gwałtownych... Zjawisko zasadnicze: ofiarowywanie niezliczonych indywiduów dla dobra nielicznych jednostek (!). Rewolucja francuska umożliwiła pojawienie się Napoleona. Dla takiego celu wypadłoby sobie nawet życzyć... załamania się całej naszej cywilizacji. (!). („Wola mocy” afor. 982, 679, 868, 877).

Wyższy typ ludzki zrealizuje się najpełniej przez polityczne osiągnięcie panowania nad światem i zakucie w kajdany niewolę całej ludzkości. Proces koniecznego selekcjonowania musi iść w parze z bezlitosnym okrucieństwem wobec słabych. Nie ma w tym nic niemoralnego. Przeciwnie. Stosowanie tych samych praw względem słabych byłoby głęboko amoralne. „Chory jest pasywnym społeczeństwem. W pewnych warunkach żyć dłużej wprost nie wypada. Wegetowanie z dnia na dzień w tchórzliwej zależności od lekarzy i zabiegów, gdy już się postradało sens życia, prawo do życia, winno budzić głęboką pogardę w społeczeństwie. Zaś lekarzom należałoby być pogardą tej pośrednikami — nie recepty, lecz codziennie nowa dawka wstrętu do swego pacjenta... Trzeba stworzyć nową odpowiedzialność, odpowiedzialność lekarską, która by obowiązywała w takich razach, gdy najwyższa zasada życia, wstępującego życia, wymaga najbezwzględniejszego zdławienia i usunięcia życia wyrodniałego...”. („Zmierzch bożyszcz” afor. 36, wyd. Mortkowicza). Mało tego.

Nietzsche tak określa nadczłowieka: „Specyficzne właściwości życia: niesprawiedliwość, kłamstwo, wyzysk są w nim największe. Musi zdobyć się na niesłychaną wielkość, by nie ulec ogromowi zła, związanemu ze zniszczeniem milionów zwyrodniałych... Charakteryzuje go też nieraz mistrzowskie maskowanie się, tak, że przybiera gesty i wewnętrzne znamiona wielkich cnót”. („Wola mocy” afor. 964, 967, 968). „Od wielkości nieodłączna jest groźna straszliwość. Najmniejszy człowiek winien być zarazem najbardziej złym... Mocny człowiek, mocny dzięki instynktom zdrowej natury, strawi swoje czyny równie łatwo, jak trawi posiłki”. („Wola mocy” afor. 1026, 1028, 906 i 877). Tu przypomina mi się mimo woli, jak gestapowcy na Alei Szucha przerywały śniadanie, katowali więźniów, a potem kończyli najspokojniej niedojedzone przed chwilą bułki z szynką.

By nie było wreszcie żadnych wątpliwości, Nietzsche łączy wyraźnie nadczłowieka ze zbrodniarzem: „Jeżeli zbrodniarz jest u nas marniejącą rośliną, to nie przynosi to zaszczytu naszym stosun-

za 100 zł. **NADZWYCZAJNA** OKAZJA! za 100 zł.

samochód osobowy, młockarnia, motocykl, rowery, radiodbiorniki, kufory na ubrania, suknie, biżuteria, meble, maszyny do pisania oraz bardzo dużo innych wartościowych przedmiotów.

WIELKA LOTERIA FANTOWA

na odbudowę Seminarium Duchownego w Poznaniu

Losy nabyć można w każdym biurze parafialnym Archidiecezji Poznańskiej.

Komitet Ofiarowania, Poznań, Ostrów Tumski 2 wysyła losy pocztą za zaliczeniem, albo po wpłaceniu na PKO V—841 zł 120.— za jeden los. Ciągnienie w Poznaniu, dnia 31 marca 1947.

kom społecznym. W czasach renesansu miał on szansę rozwoju i zdobywał sobie własną, jemu właściwą cnotę, oczywiście taką w renesansowym stylu, wirtu, wolną od moralności. („Wola mocy” afor. 740, patrz też „Tako rzecze Zaratustra” II rozdz. „O roztropności ludzkiej”).

ROZPROSZONE ZŁUDZENIA

Czy trzeba dalej cytować? Przypuszczam, że wystarczy. A można by przytaczać jeszcze stronicami, wynajdując coraz to bardziej jaskrawe wypowiedzi. Jeżeli zestawimy je z całym szeregiem sformułowań Hulki-Laskowskiego, to trudno nie dojść do przekonania, że nasz nieodżałowanej pamięci pisarz uległ jednak zasadniczej pomyłce. Bo czy napisałby inaczej: „W jego (t. j. Nietzschego) uprzywilejowaniu mocnych i zdrowych, w pełni żyjących, a zarazem w upośledzeniu słabych, nieudanych... było coś, co można nazwać radykalnym współczuciem (?). Dla mocnych i zdrowych pełna eudemonia, dla słabych i męczących się ilościowa eutanazja (?). — Jakiż potworny dźwięk ma dziś dla nas to słowo po procesach niemieckich lekarzy? Albo: „Ani mowy o tym, że słabych należy k o n i e c z n i e (podkreślenie moje) mordować i to w sposób możliwie okrutny”. Nie może też być argumentem przeciw przyswajaniu sobie Nietzschego jako patrona narodowego socjalizmu następujące zdanie Hulki-Laskowskiego: „Nie naucza Nietzsche, że należy wytepić słabych mądrych, aby uczynić miejsce na ziemi dla silnych, tępych głupców”, bo czyż uśmiercenie słabego dla zrobienia miejsca silnemu, choćby nawet był mądry, nie jest z ducha hitlerowskie? Czy mądrość może w jakimkolwiek wypadku usprawiedliwiać zbrodniczość, czy może być wartością nadrzędną w stosunku do etyki? A odnośnie nadczłowieka czytamy u Hulki-Laskowskiego: „Nietzsche nie głosił jakiegos zęścierwiałego Dżengis-Chana, sadysty i okrutnika, ale Cezara z obliczem Chrystusa, Cezara nieubłagane dobrogo”.

Pomijając już niezbyt fortunne określenie „nieubłagane dobro”, przypomnę tu raz jeszcze, że nadczłowieka charakteryzuje według Nietzschego: „mistrzowskie maskowanie się, tak, że przybiera gesty i zewnętrzne znamiona (oblicze!) wielkich cnót” (Chrystusa!). Przypomnę, że Nietzsche szczególnie w ostatnich chwilach przed definitywnym popadnięciem w noc obłądzenia chciał stopić w jedno ideał heroicznego — w jego pojęciu — człowieczeństwa z Chrystusem, ale ten ostatni uległ przy tym antycznemu, a bardziej jeszcze germańskiemu spoganienu (à la „Heliand”), tracąc istotne rysy dobroci, miłości i pokory.

W artykule Hulki-Laskowskiego są ponadto miejsca, wskazujące na to, że sam nie był w 100% przekonany o słuszności swej naczelną tezy, bo oto w zakończeniu widnieje takie zdanie: „Wogóle w pismach tego myśliciela jest r a c z e j (podkr. moje) wyznanie do szermierki umysłowej, niż do budowania komór ga-

zowych i krematoriów”. To „raczej” jest wiele mówiące, a co się tyczy szermierki umysłowej, to odgrywała ona wespół z chęcią epatowania i pogńeblenia filistra bezspornie dużą rolę u Nietzschego. Rzecz tylko w tym, że nawet tego rodzaju szermierka duchowa, „brutalizująca nasze życie duchowe” (Nałkowski) musiała wywrzeć zgubny wpływ i to przede wszystkim w Niemczech, gdzie takie apele nie mogą pozostawać w dziedzinie teorii, będąc usystematyzowaniem psychofizycznych predyspozycji narodu. I tu poruszyliśmy — jak mi się wydaje — punkt zasadniczy całego problemu.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ I WINA

Wina Nietzschego — jeżeli można tak powiedzieć o człowieku genialnym i tragicznie rozdartym, z licznymi znamionami choroby psychicznej już we wcześniejszych okresach — była nie bezsporna, lecz pośrednia. Gdyby żył w czasach III Rzeszy chwyciłby się naprawdę w przerażeniu za głowę (tu się zgadzam z Emgem), przecież sama jego natura oscylująca między demonizmem „pisanej” zbrodni, a nieprzewidywaną nigdy tęsknotą za Bogiem, wtrąca go chwilami w rozpacz i zwątpienie, ale wszystko to nie umniejsza faktu, że Hitler m ó g ł u niego znaleźć tyle zachęty i usprawiedliwienia.

Hulka-Laskowski po stokroć nie miał racji, gdy sugerował, że Hitler „wyrwał sobie z Nietzschego p a r ę (podkr. moje) aforyzmów i sfalszował go”. Pomijając już, że aforyzmy i wyjątki, które nadał dla Fuhrera, liczą się na setki, duch całości dzieł naszego poëte-prophete jest właśnie przez swoją tyranię intelektualną, elitarność (Suchodolski), brutalną agresywność, uznawanie walki dla walki itp., a wreszcie przez brak pierwiastka miłości i poszanowania dla godności każdej istoty ludzkiej, z gruntu, reprezentacyjnie germański.

Wypadki antyniemieckie, które słusznie podnosi Hulka-Laskowski, nic tu nie zmieniają. Mają one swe źródło w zaznaczonej już kilka razy chęci epatowania, są zemstą obrażonej dumy, zadrażnionej tym, że Niemcy nie składali Nietzschemu takich dowodów hołdu, jak inne narody (tu też się mieści podkreślenie rzeczywistego, czy zmyślnego pochodzenia polskiego) i wywodzą się wreszcie z świadomości, że współczesne Nietzschemu Niemcy mieszczańskie, obrastające tłuszczem oraz intelektualistyczne, ulegające dekadencji, są zaprzeczeniem ideału nadczłowieka i etyki panów. Stąd część dla Napoleona, uosobiającego niejedno z nieszczęśliwych marzeń. Czy okrzyk Nietzschego: „Niemcy są canaille — ach, są tak dobrodusznii...” nic tu nie mówi?

Jako przeciwny kulturze piętnuje Nietzsche nacjonalizm. Dlaczego? Bo przyświeca Nietzschemu imperializm europejski, zmierzający do podporządkowania „płowej bestii” nie tylko Europy, ale i całego świata. Mawiał swoim rodakom gorzkie prawdy — zgadza się, ale czy

nie czynił tego samego Hitler? Kto nie wierzy, niech zajrzy do „Mein Kampf”.

Są w dziełach Nietzschego miejsca, które dla hitlerowców nie nadawały się, albo były wręcz kłopotliwe: np. — cytuję z pamięci — „żaden inteligentny człowiek nie może należeć do jakiegokolwiek partii, bo się za szybko przez nią przemysł”. Ale tego rodzaju sentencje uważano w Niemczech — sam byłem świadkiem takiej rozmowy — za mało istotny wpływ dwoistości natury Nietzschego, oraz faktu, że żył on bądź co bądź w innych nieco czasach. Biorąc nawet pod uwagę tendencyjność takiego stanowiska, trzeba jednak przyznać, że jest ono ogólnie biorąc słuszne. Zasadnicza dominanta czyichś zapatrywań jest miarodajna, a nade wszystko duch przepajający, mimo „lokalnych” odchyłań, całość.

Nietzsche był nieszczęśliwym chorem człowiekiem, odczuwającym potrzebę skompensowania swej niemocy przez głoszenie brutalnej, wytęsknionej siły. Był ponadto wielkim filozofującym pisarzem. Styl takiego „Zaratustry” zbliża to dzieło do muzyki, sam Nietzsche chciał, by uważać je za symfonię. Błyskotliwa, przekorna szata jego myśli wywierała i dziś jeszcze może wywierać znaczny urok. Niektóre wypowiedzi noszą piętno „ducha — wiecznego rewolucjonisty”, którego musi czcić i kochać za Słowackim każdy, któremu postęp ludzkości jest czymś upragnionym, a niecość dążącej do ustalenia materii czymś wstrętnym. Ale wszystko to nie pozwala nam przytykać oczu na fakt, że Hitler i jego współpracownicy powołując się na Nietzschego, mieli do tego pełne prawo. Niejedno pojęli inaczej, niejednego nie chcieli zrozumieć tak, jak zostało napisane, lecz duch, który był motorem ich poczynań i zbrodni, był bezspornie duchem Nietzschego, w którym wszystko, co odwiecznie niemieckie, znalazło swój najpełniejszy i najjaskrawszy wyraz.

Dlatego też Nietzschego należy uważać za największego patrona III Rzeszy. Przez integralne zbrutalizowanie niemieckiej myśli zbliżył ją do sfery czynów, które pozbawione kainowego piętna, usprawiedliwione i usankcjonowane, mogły bez „moralnych protestów” dojrzeć do realizacji. „Filozofia moja — pisze Nietzsche („Wola mocy” afor. 375, wyd. Mortkowi-cza) — przynosi ideę zwycięską, w której ginie w końcu wszelki inny sposób myślenia. Jest to wielka idea hodowli rasy, które jej nie znoszą, są skazane; te które odczuwają ją jako największe dobrodziejstwo, są wybrane do panowania”.

Hamująca a równoważąca dwoistość narodu romantycznych poetów, genialnych muzyków, bezinteresownych filozofów, a zachłannych polityków i żołnierzy, została przekreślona. Hitlerowcy potrafili katować przy dźwiękach Dzwiającej Symfonii, albo odłożywszy właśnie Fausta. To najbardziej oskarża Fryderyka Nietzschego — to nade wszystko!

Leon Naganowski.

Życie gospodarcze

Z ZAGADNIEN BIEŻĄCYCH

Pierwszą konsekwencją układu o przyjaźni, zawartego w dniu 19.3.1947 r. pomiędzy Polską a Czechosłowacją, jest porozumienie gospodarcze, które przewiduje zawarcie:

1. traktatu handlowego i nawigacyjnego,
2. układu o bieżącym obrocie towarów i usług,
3. układu o współpracy przemysłowej,
4. układu o przewozie i tranżycie,
5. układu płatniczego.

Porozumienie ustala równocześnie wartość przewidywanych w ciągu 5 lat obrotów w kwocie 200 do 300 milionów dolarów dla każdej ze stron, t. zn., że ogólny obrót (eksport + import) wyniesie od 400 — 600 mil. dolarów, a więc w skali rocznej od 80 do 120 milionów dolarów.

Korzyści, wynikające z powyższego porozumienia dla obu stron, można ująć w następujące punkty:

1. Rozwój stosunków gospodarczych ułatwi w poważnym stopniu rozwiązanie spornych problemów politycznych. Na tle bowiem szerokich stosunków gospodarczych, przynoszących olbrzymie korzyści obu krajom, konflikty polityczne okazywały się niezwykle małe i łatwe skutkiem tego do likwidacji.

2. Wymiana pomiędzy sąsiadującymi krajami pozwoli na nabywanie potrzebnych dóbr po cenach nie obciążonych wysokimi kosztami transportu, które kształtują się obecnie zarówno w komunikacji lądowej, jak i morskiej na bardzo wysokim poziomie.

3. Stosunki gospodarcze wywołają proces dopasowywania się struktury gospodarczej obu krajów, co wpłynie na urentownienie poszczególnych dziedzin i obniżenie cen, a zatem urentownienie całości gospodarki narodowej.

4. Bieżąca sytuacja gospodarcza obu krajów wyraźnie narzuca konieczność współpracy z uwagi na trudności zdobycia potrzebnych dóbr w innych krajach i znaczną komplementarność pomiędzy obu krajami w zakresie dóbr i usług. Z jednej strony bowiem Polska potrzebuje przede wszystkim dóbr inwestycyjnych, a w szczególności maszyn. Czechosłowacja właśnie na tym odcinku ma duże możliwości, które zresztą ciągle rozszerzają się. Z drugiej strony Czechosłowacja potrzebuje surowców takich, jak węgiel i cement oraz usług w zakresie transportu, co znowu całkowicie odpowiada możliwościom Polski.

5. Szeroka współpraca gospodarcza pozwoli na wzmocnienie pozycji gospodarczej obu krajów na rynkach światowych i w międzynarodowych organizacjach gospodarczych.

6. Silne analogie, jakie zaszły w przebudowie ustrojów gospodarczo-społecznych obu krajów pozwolą na wymianę koncepcji i doświadczeń w zakresie budowy nowego ustroju gospodarczo-społecznego.

Poza powyższe wymienione korzyściami obu stron należy podkreślić, że Polacy przez utrzymywanie szerokich stosunków gospodarczych z Czechami mogą zasymilować szereg umiejętności gospodarczych Czechów, którzy pod tym względem są narodem niezwykle uzdolnionym.

Bez żadnej przesady można stwierdzić, że nawiązanie stosunków pomiędzy Polską i Czechosłowacją i to w szczególności stosunków gospodarczych, położy nie tylko kres dotychczasowemu niednaskom, lecz również stworzy realne podstawy dla rozwoju gospodarczego i politycznego obu krajów. (1)

nym, wszystkie fakty, które szły z latami, wyrobiły w nich coraz więcej rozgryczenia, wzajemnej niechęci do siebie. Właściwie zagubili kierunek i cel życia. Chwycili się kurczowo własnego nosa, obwarowali się obojętnością na wszystko, co nie dotyczy ich kieszeni. Krytykują zjadale wszystko i wszystkich.

Przyjacielu, przynasz mi rację? Przy-czyna tkwi znowu w tym, że zakopali pracę nad sobą i miłość bliźniego.

OTRZYMALIŚMY Z LONDYNU:

List do przyjaciela w kraju

Może masz żal, że nie pisałam do tej pory, ale trudno pisać w nawale rozmaitych wrażeń.

Dziś, do pewnego stopnia ustaliłem swój pogląd i chcę się nim z Tobą podzielić.

Pamiętasz naszą charakterystykę ludzi na emigracji? Jak trudno nam w kraju było zrozumieć. Nasze opinie opierały się na przypuszczeniach i zdaniach tych co wrócili.

Po paru miesiącach pobytu tutaj — przyjrzałam się im. Są inni! — Ty wiesz. My też jesteśmy inni. Czyż potrzebują ich usprawiedliwiać? Rośli i walczyli w innych warunkach — to nie ich wina. Są tacy jakimi pozwolono im być. Ze nie widzą pewnych rzeczy, że nie poznali? Kto im miał pokazać i kiedy mieli odczuć? Rośli w górę, ale nie w głąb.

Widzisz przyjacielu obserwowałam młodych ludzi, których wojna zastała jeszcze nie wychowanymi. Wojsko zrobiło z nich odrazu ludzi dojrzałych. Warunki materialne dobre, żadnej walki o byt. Cel jeden — bić się. Twarde życie żołnierskie, ale zorganizowane, ale wiele momentów odprężenia. A pamiętasz naszych w kraju?

Bieda w domu, praca zarobkowa, nauka w tajnych kompletach, atmosfera wiecznego strachu, stopniowe wciąganie się w konspirację — stała napięciem nerwów. Wróg wciąż przenikający wszędzie jak mgła.

Często spotykam się z narzekaniem na młodzież w kraju.

Ale któż ją miał wychować? Czy był na to czas? Czy były warunki? Czy dom walczący o byt miał kontrolę nad wychowaniem syna czy córki? Zarzuty — była demoralizacja, młodzież chodziła do kina. Mały, mały procent ulegał dążeniom okupanta, mającego na celu obniżenie i zdemoralizowanie ducha młodzieży.

Ale jest i odwrotna strona medalu przy porównaniu jednych i drugich. Nie widzieli tyle, co ich rówieśnicy na emigracji, nie żyli i nie wchłaniali w siebie zdobywcy kulturalnych i cywilizacyjnych szerokiego świata. Chcąc nie chcąc musieli nauczyć się czuć. Musieli nauczyć się reagować odpowiednio na uderzenia z zewnątrz — a tych w kraju było wiele. Tylko cierpienia wychowują w głąb.

Wracam do ogółu ludzi emigracji. Młodzi wyrosli tak, jak wykuło ich środowisko i czas. Starzy zostali z obciążeniem lat, które przeżyli, z nastawieniem i światopoglądem do 39 r.

Wszędzie są niespokojne duchy i silne charaktery, którym za ciasno w narzuconym szablonie. To jest właśnie element najwartościowszy.

Przyjacielu, znasz ten element! Wszędzie na całym świecie widocznie tak jest. Tylko? Czy nie będziesz uważał za słuszną uwagę, które poczyniłam w związku z tym elementem tutaj? Założeniem ich i planom brakuje dwóch rzeczy — tych

właśnie, które w kraju nauczyliśmy się rozumieć i które tak ułatwiają życie, dając cel i wiarę w słuszność idei, dla której się żyje.

Brak im przekonania, że wszelkie prace nad innymi należy zaczynać od siebie — jest to najkonkretniejsza praca dla Polski. Drugi warunek — zacerpnięty z podstawowej nauki Chrystusa — „miłość bliźniego”.

Tego, właśnie tego nie czuje się u ludzi naszych, u Polaków na emigracji! Egoizm zastraszający, materializm — a dwa te czynniki wyrobiły zawiść, zazdrość i złośliwość w obcowaniu codziennym, plotki i podstawianie sobie nóg.

Przyjacielu! Ty potrafiłeś kochać każdego człowieka, nawet najgorszego. Ty potrafiłeś przekonać nas o słuszności swe go postępowania — powiedz, doradź mi, co robić, żeby i nasi tutaj zrozumieli siusznść tych dwóch punktów? Każdy człowiek ma w sobie małą cząsteczkę boskości. Tylko nie każdy pielęgnuje to. Sądzę, że ci ludzie tutaj, oderwani od kraju — przeżywali masę rozczarowań. Innych niż nasze, ale może więcej. Przesadzeni na obcy grunt, widzieli tak wiele, mieli szanse porównywać życie zachodu z życiem w kraju. To porównanie boli.

Mimowoli chciałoby się Polskę widzieć równie bogatą, równie mądrą i umiejącą się rządzić. Nawet wydarzeń politycz-

W OSTATNICH czasach w całym szeregu pism niemieckich i wychodzących w Niemczech (np. w amerykańskim tygodniku „Heute”) ukazały się artykuły i wspomnienia o grupie „Białej Róży”, zwanej także „grupą rodzeństwa Scholl”. Wspomnienia te skoncentrowały się głównie około daty 22 lutego 1947, czwartej rocznicy stracenia rodzeństwa Scholl i ich przyjaciela Krzysztofa Probst.

O t. zw. „niemieckim ruchu oporu” pisała już ostatnio prasa polska, przy czym stwierdzała się powszechnie, że trudno mówić o istnieniu jakiegokolwiek organizacji oporu w Niemczech hitlerowskich, godnej tej nazwy wobec ogromnych organizacji krajów okupowanych, z Polską, ZSRR i Francją, oraz Jugosławią, na czele.

Jednym z najlepszych zresztą dowodów na to, że prawdziwy ruch oporu w Niemczech nie istniał, jest właśnie obfitość wspomnień o rodzeństwie Scholl i ich kilku przyjaciółach, przy zupełnym braku wszelkiego tego rodzaju wspomnień o jakichkolwiek innych grupach. Dochodzą tylko wiadomości, że wytwórnia filmowa „DEFA” szykuje wielki film o niemieckim ruchu oporu i... prosi o dostarczenie materiału, że paru literatów postanowiło temat ten poruszyć. Ale wśród rozlicznych wspomnień wojennych sprawa „grupy Scholl” zajmuje miejsce odrębne... i osobnionie. Tak osobnionie właśnie, jak samotni byli ci młodzi ludzie pośród swoich kolegów, koleżanek i całego narodu niemieckiego.

„Grupa Scholl” składała się z sześciu, czy siedmiu osób czynnie zaangażowanych; byli to: Hans i Sophie Scholl, dr. fil. Kurt Huber, profesor uniwersytetu monachijskiego; trzech czy czterech kolegów Hansa Scholla, przy czym spośród nich Alexander Schmorell najczynniej współdziałał z Hansem Schollem w pracy. Prócz tego kilkanaście osób wzięło o akcji grupki, nie biorąc w niej czynnego udziału.

Działalność grupy zaczęła się, o ile można wnioskować, jeszcze przed wojną i polegała wówczas na przemycaaniu przez granicę osób przesładowanych przez ustrój hitlerowski, Żydów i in. Podczas wojny, około roku 1940-42, zaczęto drukować „Ulotki Białej Róży”, przewzane później „ulotkami Niemieckiego Ruchu Oporu”. Nakład na prymitywnym ręcznym powielaczu wynosił ostatnio do 20.000. Rozsyłano je drogą listową do osób wybranych dowolnie z książek telefonicznych większych miast, przy czym przyjaciele jeździli do Berlina, Wiednia, Stuttgartu i paru innych miast (bazą operacyjną było Monachium) i masowo wrzucały listy Białej Róży do skrzynek. Ulotki nie miały charakteru politycznego, ani programowo-propagandowego; wskazywały głównie na zbrodnie reżimu i na hańbę, która przez nie spadnie na naród niemiecki i wzywały do biernego oporu przeciw reżimowi, sabotażu maszyn wojennej i zbiórki pieniędzy, jak w ogóle wszelkich imprez NSDAP.

Po katastrofie armii niemieckiej pod Stalingradem malowano czerwonymi literami na murach Monachium „Wolność” i „Precz z Hitlerem”. 18 lutego 1943 rodzeństwo Scholl rozrzuciło ulotki wzywające do powstania przeciw reżimowi w gmachu uniwersytetu w Monachium. Nikt jednak nie zwrócił na nie uwagi, prócz woźnego uniwersyteckiego (jedne pisma podają jego nazwisko jako „Jakob Schmid”, inne jako „Scheidhammer”), który zademonstrował Schollów do Gestapo. Aresztowani wraz z jednym ze swych przyjaciół Christophem Probstem, torturowani w Gestapo, (przy czym dziewczynie złamano nogę), aby wydali swoich towarzyszy, stawieni przed sądem osławionego „trybuna” monachijskiego Freislera — zostali ścięci wszyscy troje w dn. 22 lutego 1943. W dalszym ciągu aresztowano wszystkich pozostałych i stracono ich w okresie do 29 stycznia 1944.

Obecnie w Monachium istnieje „plac rodzeństwa Scholl”, a w Hamburgu tak „ulica”. Hans Scholl miał w chwili śmierci lat 25 niespełna, jego siostra niespełna 22.

Pisma niemieckie skwapliwie podkreślają, że znaczenia tej akcji nie należy mierzyć jej powodzeniem. Nie leży to w naszych zamiarach — nie bezpośredni wynik stanowi bowiem o wartości ludzkiego działania, w żadnym zaś wypadku powodzenie. Nie mniej — będzie sprawiedliwe ocenić znaczenie akcji Schollów jej rozmiarami...

Rozmiary te były takie, jak już podałyśmy. Siedem osób zaangażowanych czynnie, kilkanaście wiedzących i nie denuncjujących. Mur milczenia i obojętności ze strony tysięcy studentów, kolegów, koleżanek, nie mówiąc już o ludności.

W dzisiejszych pismach niemieckich mówi się o ludziach, którzy byli im bliższy — nie mówi się o takich, którzy „uależeli” do nich. Stąd usprawiedliwiony

Szeroki horyzont

BIŁA RÓŻA

(„Grupa Scholl” jedyna prawdziwa komórka niemieckiego Ruchu Oporu)

wniosek, że ich nie było, że całą organizację we właściwym tego słowa znaczeniu stanowiło siedmioro ludzi.

Grupa Schollów jest dla nas interesująca z kilku punktów widzenia, dlatego też wydobynam ją z zapomnienia dla polskiego czytelnika.

Po pierwsze, jej absolutne odosobnienie rzuca bardzo jaskrawe światło na t. zw. „niemiecki ruch oporu”. Istnienie tej grupy nie jest zaprzeczeniem reguły, mówiącej, że naród niemiecki nie stawiał żadnego oporu hitleryzmowi. Przeciwnie, jeżeli to określenie wogóle ma sens, jest właśnie wyjątkiem potwierdzającym regułę. Wyjątek ten właśnie i przez swoją wyjątkowość uwidacznia najlepiej na stroje niemieckiej młodzieży.

Dalej, istnienie tej grupy przełamuje kłamstwo, jakoby młodzież niemiecka była uwiedzona i otumaniona, jakoby przez swój idealizm wpadła w patriotyczną pułapkę, „w którą wpadłaby każda młodzież” (Fred Thide, „Staat ohne Jugend” artykuł w „Die Neue Zeitung” z 28.2.47). Schollowie pisali w swoich ulotkach: „Któż z nas przeczuwa rozmiary hańby, jaka przyjdzie na nas i na nasze dzieci, kiedy spadnie wreszcie zasłona z naszych oczu i wystąpią na światło dzienne najpotworniejsze i wszelką miarę nieskończenie przewyższające zbrodnie?”. Nie

zechce nikt twierdzić, że grupa kilkorga studentów w Monachium rozporządzała źródłami informacji, jakich brakło całemu społeczeństwu niemieckiemu aż do przywódców Gestapo włącznie — że skoro Hans Scholl wiedział, iż dzieją się straszne zbrodnie, to mógł o tym nie wiedzieć zastępca Himlera Kaltensbrunner. Nie utrzyma się również twierdzenie, że niemożliwe było dla młodego Niemca przejrzeć hitlerowską propagandę i zobaczyć zbrodnię pod pokładem zakłamanej ideologii.

Wreszcie, grupa Białej Róży była zdecydowanie katolicka. Nie w sensie organizacyjnym czy programowym: Schollowie i ich nieliczni przyjaciele nie propagowali katolicyzmu jako takiego, ale żyli nim, wyciągając ze swojej wiary wszelkie konsekwencje. Ich bohaterski odruch przeciw zbrodni płynął właśnie z katolickiej, chrześcijańskiej wobec świata i życia postawy. Spiszkowcy 20 lipca, grupa generałów, która postanowiła usunąć Hitlera, gdy ten przegrał wojnę strategicznie, zamierzali uratować Niemcy przed ostatecznym rozbięciem militarnym; Biała Róża obawiała się dla swego narodu nie klęsk (,,wiemy, że narodowo-socjalistyczna potęga musi być złamana militarnie”), ale zbrodni i hańby. Nie wyklamywanie się od winy narodowej, ale

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych czytelników na wszelkie zagadnienia życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego. Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwę miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO” PROBLEMY MŁODZIEŻY

Ostatnio w prasie polskiej, zarówno periodycznej jak i codziennej, pojawiły się liczne enuncjacje, dotyczące młodzieży polskiej i związanych z nią zagadnień. Problemy te były poruszane przez ludzi wywodzących się albo ze starszego pokolenia, albo też z organizacji reprezentujących tylko część młodego pokolenia. Pragnę więc naświetlić te zagadnienia w imieniu młodzieży bezpartyjnej, jak i przypomnieć o pewnych stronach naszego życia, o których na łamach prasy dotąd mało się mówi.

Szeroko była omawiana w czasopiśmie kulturalno-społecznych kwestia ustosunkowania się młodzieży polskiej do tak zwanej współczesnej rzeczywistości. Wydaje mi się, że przemawiali w tej sprawie ludzie przekonani o reakcyjności młodego pokolenia, albo też jednostki, którym nie są znane w dostatecznej mierze nasze poglądy w tej sprawie. Dlatego też rzucam tutaj kilka uwag, które mogą się przyczynić do wyjaśnienia pewnych nieporozumień.

Młodzież jest, jak wiadomo, bezkompromisowa. W danej chwili może tylko jedno zagadnienie zajmować jej umysł i znajdować się niepodzielnie w ośrodku jej pola świadomości. Tym zagadnieniem absorbującym nasze umysły była walka z okupantem w różnej postaci poprzez konspirację, aż do partyzantki w lesie włącznie. Poza tą ideą, bardzo zresztą szlachetną, nie było w naszych mózgach i sercach prawie nic, a tę resztę, która ewentualnie pozostawała, pochłaniało życie osobiste w jego różnych przejawach, jak: praca, nauka, miłość i t. d. Co do zagadnienia tak ważnego, jakim było bezwzględnie oblicze Polski powojennej, to przyjmowało się albo bezkrytycznie ideologię organizacji podziemnej, w której się pracowało, albo odkładało się ją na czas bliżej nieokreślony, pocieszając się, że po wojnie „jakoś tam będzie”. Tylko nieliczne stosunkowo jednostki rozmyślały nad tą sprawą i przyjmowały ten czy inny światopogląd, jako rezultat rzetelnej pracy wewnętrznej. Polska, jaką zastaliśmy po wojnie, była dla nas (mówię w tej chwili o młodzieży bezpartyjnej) najmniej niespodzianką i to niejednokrotnie przykra, jak dla starszego pokolenia. Niektórzy z nas powrócili do domu, by kontynuować pracę, przy których zastała ich wojna. Wielu jednak nie zdecydowało się na tak gwałtowne przerwienie się z walki do życia pokojowego; atmosfera konspiracji jeszcze zbyt silnie działała. I tutaj nastąpiło jeszcze raz potwierdzenie faktu, że młodzież jest bezkompromisowa. Przerzuciliśmy się od razu bez dalszego zastanawiania się na jeden lub na drugi biegun naszej rzeczywistości powojennej. Jedni stali się członkami PPR lub ZWM, drudzy poszli do lasu z powrotem jako

żołnierze NSZ, czy WiN. Nagła ta decyzja była przyczyną wielu tragicznych nieporozumień i spowodowała nieraz degenerację psychiczną jednostek. Stała się ona po części także powodem zarzutów, stawianych nam młodym, reakcyjności i faszystwu z jednej strony, a zdrady interesu państwa i narodu z drugiej. Te zarzuty dotyczyły także często nas, młodzieży bezpartyjnej, ponieważ nieopowiedzieliśmy się wyraźnie po jednej lub po drugiej stronie.

Naszym ideałem jest praca i to praca bez względu na jej postać. Równie bliskim jest dla nas robotnik, młody intelektualista - marksista, jak i postępowiec - wiciwóciec, lub członek KSM. Żądamy tylko wypełnienia dwóch zasadniczych postulatów: primo postawienia sobie za naczelny cel życia działania dla dobra Polski i secundo poszanowanie naszych osobistych poglądów, o ile nie sprzeciwiają się one prawu, nad którym musi stać ogólnie-chrześcijańska, par excellence humanistyczna moralność.

Z. J. P.

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO” POWAGA CHWILI

Cały świat katolicki obchodzi obecnie okres Postu 40-dniowego, zwanego Wielkim. Wśród przeważających mas katolickich w Polsce panuje nastrój poważny. Rozumiemy my katolicy dlaczego Ogół Polaków-katolików z niechęcią zgorszeniem i niesmakiem słucha nadawanych przez radio różnych wesołych i frywolnych nawet, (zwłaszcza w niedziele i święta) pieśni i piosenek, nie licujących u nas z powagą chwili.

My chcemy Polski mocnej, silnej, niezależnej, demokratycznej, ale katolickiej i tylko katolickiej.

Przeżywamy obecnie okres poważny, przełomowy. Kształtują się zgręby budowy, a raczej przebudowy u nas życia społecznego. Podstawy i fundamenty naszej państwowości są zdrowe i niezmuśnione o tyle, że oparte od wieków na zasadach chrześcijańsko-katolickich. Naród nasz kurczowo trzyma się Kościoła św., rozumiejąc, że On jest ostoją, siłą i mocą ducha naszego narodu.

Dlatego panowie od stacyj radio-nadawczych, musicie się liczyć z opinią katolików w Polsce i nie narzucać nam audycyj niemiłych dla ucha ludzi wierzących.

Obecny czas Postu W. domaga się od nas wstrzeźliwości i umiarkowania we wszystkim, a więc i w audycjach radiowych.

Wogóle, ogół katolicki naszego społeczeństwa pragnie, by i w ciągu całego roku nadawane były codziennie audycje religijne, wśród innych.

Tego domagają się przekonania nasze i powaga chwili.

J. Talimir, Warszawa

Andrzej Józef Kamiński

zmazanie jej czynem, stanowiło program Białej Róży. A program ten wyrósł z odczutej głęboko nauki Chrystusa, wyrósł z czynnego, życiowego katolicyzmu.

Obok grupki Schollów postawić można może jeszcze tylko pewnego młodego Niemca, który — jak podaje „Tagesspiegel”, 12.1.47 — został osądzony przez sąd wojenny i ukarany (treści wyroku pismo nie podaje), za to, że jako wierzący katolik odmówił czynnego udziału w wojnie, którą uważał za niesprawiedliwą, uprzędając wcześniej jeszcze, przy wstąpieniu do wojska przed wojną, że w wypadku wojny będzie się czuł związany przepisami religii katolickiej... Ale obok tych sześciorga młodych katolików niemieckich nie bardzo jest kogo postawić poza tym. Ich wyjątkowość — raz jeszcze to podkreślę — bardzo mocno stawia przed oczy regułę...

Gdyby takich, jak Schollowie i ich przyjaciele, jak ów pojedynczy, samotny młody katolik, było w Niemczech za czasów Hitlera choć sześćdziesiąt tysięcy, miast sześciorga; gdyby takich uczonych, jak stracony w grupie Białej Róży prof. Huber było choć ze stu — możnaby nie tracić nadziei co do przyszłości narodu niemieckiego, możnaby uważać, że zmyta została plama barbarzyństwa z honoru niemieckiej nauki. Ale samotność (z ich wiarą i idealizmem pośród „ideali zmu”, o którym mówi Thide) — tych kilkorga ludzi — samotność za życia i po śmierci — mówi więcej, niż długie rozprawy i wywody.

Naprawdę „Neues Deutschland”, pisząc o nich, używa określeń „powstanie studenckie”, „rewolta studencka w Monachium”. Używanie tych samych określeń, co w odniesieniu do powstania warszawskiego, czy słowackiego, czy choćby nawet praskiego, wygląda tu niepoważnie. Powstań, ani rewolt nie robi pięć osób.

Powiedziałem o samotności pośmiertnej świadomie.

Prof. Krauss z Marburga („Start”, 212.47) uważa, że ponad 50% młodzieży studenckiej w Niemczech myśli po narodowo-socjalistycznemu. Tak wreszcie posławsz Schollów — a ocena prof. Kraussa jest z pewnością optymistyczna... W Norymberdze i Stuttgarcie leżą bomby...

Donosiciel, który wydał Białą Różę pod topór, zapłacił 2000 marek grzywny.

Pewien młody dziennikarz, który po skazaniu go przez hitlerowców na śmierć, zdołał zabić strażnika i uciec do Szwajcarii, został obecnie skazany przez sąd niemiecki na pół roku więzienia. Nasuwa się natrętnie myśl, że to samo byłoby z Hansem Schollem, gdyby zdołał tak samo uciec: siedziałby w więzieniu, którego nie znał ów donosiciel.

Pewnej studentce, która za niedoniesienie o Białej Róży skazana została na rok więzienia, policja berlińska wpisała w roku 1946 do świadectwa moralności: „Karana rokiem więzienia za niezameldowanie o przestępstwie”.

Wreszcie zostaje spojrzeć w testament polityczny Białej Róży, którego staranym... niewypełnieniem zajmują się dziś po trochu wszyscy.

„Usiłujemy osiągnąć odrodzenie ciężko rannego ducha niemieckiego od wewnątrz — czytamy w jednej z ulotek Białej Róży. — To odrodzenie musi jednak poprzedzać jasne rozpoznanie całej winy, jaką się obciążył naród niemiecki, i bezwzględna walka przeciw Hitlerowi i jego nazbyt wielu pomocnikom, członkom partii, quislingom i t. p. Z całą brutalnością musi być wyrwana przepaść między lepszą częścią narodu i wszystkim, co się wiąże z narodowym socjalizmem. Dla Hitlera i jego zwolenników nie ma na tej ziemi kary, która byłaby sprawiedliwa za ich czyny. Ale z miłości dla następnych pokoleń musi być po ukończeniu tej wojny uczyniony przykład, aby nikt więcej nie poczuł nawet najmniejszej ochoty do podobnych poczyną. Nie zapomnijcie także małych łajdaków tego systemu, zaznaczcie sobie ich nazwiska, aby żaden nie uszedł! Nie powinno się im udać, po wszystkich tych okropnościach w ostatniej chwili zmienić chorągiewkę i udawać, że nigdy nie nie było!”.

Niewiadomo, co tu podziwiać — zdolność przewidywania tych kilkorga młodych studentów, ich prawdziwy, najlepszy stempla patriotyzm... czy też doświadczenie, z jaką wszystkimi te wskazania zostały zlekceważone, z jaką postępowanie wszystkich idzie dzisiaj w przeciwnym kierunku.

„Placem” i „ulicą rodzeństwa Scholl” chodzą „zdenazyfikowani”, „mali”, „nominalni” członkowie partii narodowo-socjalistycznej.

Redagują: Jan Dobraczyński, Bolesław Piasecki.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzien, prócz poniedziałków i sobót, godz. 12.30—13.30.

Prenumerata miesięczna 40 złotych. Kwartalna 120 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia”, Widok 24. B-60304

Odbito w drukarni „Czytelnik” Nr 2, Marszałkowska 3/5.